150.

Dodatek do Tygodnika Powszechnego.

JONASZ SCHLICHTING

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

WARSZAWA.
NAKŁADEM REDAKCYI TYGODNIKA POWSZECHNEGO.

Druk T. Nasiorowskiego Czysta Nr 8

Дозволено Цензурою,
Варшава, 28 Апрѣля 1888 г.

Druk T. Nasiorowskiego, Czysta Nr 8.

I.

W Nawojowej, nieopodal drogi, stała niewielka chatka ubogich kmieci, którzy, jak kwiat wypielęgnowali jedyne swoje dziecię, piękną Ankę, dobiegającą teraz lat szesnastu, a może i więcej, bo metryki tam w wieśniaczej chacie nikt nie czytywał, ani na lata bardzo skrupulatnie nie obliczał. jeno zwyczajem kmiecym, kiedy panna dorastała, pomalowano zczerniałe okienice w kwiaty i ciemne ściany upstrzono białemi wapiennemi plamami. Był to dostateczny znak, że w domu jest dziewucha i, że gościnne drzwi izby kmiecej otwarte są dla parobków, chcących szukać szczęścia w małżeńskiem pożyciu.

Do Wiesiołków, rodziców pięknej Anki, oddawna zbierali się wiejskie chłopaki, nieobliczający ani na kolligacyę, ani na posagi; każdy z nich, wstępując pod tę biedną strzechę, wnosił uczciwe serce i nie pytał się o nic, jeno Boga prosił, aby mógł się dziewczynie podobać i być przez nią ukochanym.

Anka nie odznaczała się klasycznymi rysami. Byłto kwiateczek wiejski, skromniutki, a barwny, jak zwykle każda krakowska dziewucha o twarzy okrą-

głej, czerwonych policzkach, niebieskich, łagodnych oczach, ciemno-blond włosach splecionych w warkocz i rzuconych na ramię.

Średniego wzrostu, dobrej tuszy, czyściuteńko ubrana, przyciągała więcej jeszcze chłopaków swoją białą, zgrzebną, czerwoną wstęgą pod szyją zawiązaną koszulą, która falowała się nieustannie na piersiach wystających z pod krasnego, na haftki zapiętego gorsetu. Nic dziwnego, że w izbie Wiesiołków w każde święto nie brak było chłopaków tęgich, młodych i dziarskich, jeden „przez drugiego" starających się przypodobać dziewczynie.

Największą jednak uwagę panny zwracał na siebie Stanisław Piotrkowczyk, chłopiec rosły i smukły, o pięknych rysach, a chociaż był biedniejszym niż inni, jednakże i starzy Wiesiołkowie za nim obstawali, bo słynął z uczciwości i dobrego serca.

Mówiono we wsi nawet, że byleby gębę rozdziawił, to dostanie dziewuchę, bo chętna mu i rada. Jeno Stach był bardzo nieśmiały. Ile razy miało przyjść do stanowczego kroku, on drżał, za serce go ściskało i prosił swatów, aby innym razem szli do niej. Ludzie też we wsi z niego się wyśmiewali, a on wtedy chodził markotny i zgryźliwy, zacinał pięście, krew mu do głowy uderzała, i radby był z każdym jąć się za bary. Nikt jednak wówczas nie zaczepiał Stacha. Szanowano go i lubiano powszechnie, bo był chłopak zuch, a przytem niezmiernie dobrego serca. W potrzebie dzielił się z każdym

ostatnim kąskiem chleba, bodajby jedyną koszulą; a we wsi niebyło człowieka któregoby nie poratował, lub któremuby kiedy nie dopomógł.

Nawzajem za to szanowano Stacha i nie sprzeciwiano mu się, bo jak był dla dobrych dobrym, tak dla złych złym. Wtedy gorączka opanowywała go i bez zastanowienia rzucał się bodajby na dziesięciu — z gołemi pięściami.

Takim był z usposobienia Stach Piotrkowczyk. Dobra była ta delikatność, jeno jedna rzecz przy tej okazyi zachodziła. Niewiadomo, czyby panna doczekała się kiedy ślubu, szczęściem, że się potemu zdarzył wypadek. Na kraj Polski najechał Szwed mszcząc się nad nieuległymi mieszkańcami. Szczególniej źle obchodził się z chłopstwem, bo najpierw zabierał im dobytek, potem młodsze kobiety, a stare baby i chłopy, obiwszy nie na żarty, wypędzał w pole jak bydło i z dymem puszczał ich siedziby. Obawiano się więc wszędzie najścia tego nieprzyjaciela, tego bezbożnego heretyka, a chociaż Nawajowa położona była opodal od traktu krakowskiego, kędy wszystkie szły wojska, to jednak przebiegli wieśniacy ustanowili między sobą warty, a Wiesiołek stary widząc się sam, oddalony od wsi, chciał mieć pewniejszą opiekę w zięciu.

Dziś więc właśnie wypadły zrękowiny Stacha z piękną Anką. Na ten uroczyście obchodzony w krakowskiem obrządek, zeszła się cała wieś prawie do uczciwych i lubionych Wiesiołków, znosząc z sobą

kto co mógł: to ser, to jaja, to chleb. Ojcowie Anki postawili piwo i wódkę, pan młody sprowadził kapelę i tak jakoś zapomiano o troskach, które kraj przyciskały.

Już też i zabawa szła ochoczo. Stach pił do Anki, a dziewuchy wyśpiewywały różne pieśni, którym dogrywała kapela na skrzypkach i basach.

Anka była pięknie ubrana, a oczy jej jakoś jaśniały tak pogodnie i tak dziwnie, że Stach nie mógł oprzeć się pokusie i ściskał ją serdecznie w sieni, lub alkierzu, gdy jeno ludzie na nich nie patrzyli. A ona nie wzbraniała mu tego czynić, bo i pocóż miała mu bronić, wszakże, zaraz po adwencie odbędzie się wesele. Już w gąsiorkach nie wiele było, a i grajki ustawali, kiedy do izby wbiegł podrostek Szymonek wołając: „Wojsko idzie.“ Wieść ta niepospolite wywarła wrażenie. Cała gromada wydała jeden gwałtowny okrzyk i pędem rzuciła się do drzwi, lub okien. Matki, łkając, biegły do swoich chat, aby ztamtąd uprowadzić pozostawione dzieci, chłopi otwierali stodoły, obory i stajnie, wypuszczając na pola dobytek. Ten i ów dopadłszy konia bezprzytomnie uciekał zapominając o wszystkiem.

W kwadrans we wsi niebyło nikogo. I stary Wiesiołek wraz z żoną i córką podążał w stronę najbliższego boru; nieodstępował ich Stach Piotrkowczyk.

Blady, z iskrzącemi oczyma, nasłuchiwał co chwila, czy zkąd nie dolata tętent koni, lub szczęk oręża. Ale dokoła było cicho, spokojnie; ani jedno pars-

knięcie, ani jeden odgłos złowrogi nie dochodził znikąd, a las zarysował się coraz wyraźniej. Nieopisana gorączka popychała idących ku tym zielonym drzewom. Z czworga śpieszących się ku tym iglastym zaczarowanym rycerzom, ku temu smutnie szumiącemu borowi, Anka była najspokojniejszą. Z ciekawością oglądała się na wszystkie strony, jakby chciała gdzieś dojrzeć jakiego wojaka; wszakże jej o nich tyle naopowiadano — szczególniej zaś Magda, dziewucha ze wsi sąsiedniej, mówiła jej, że rycerze są ładni i dobrzy. Noszą strojne szaty, a często zdarzają się okuci w żelazo, z dużemi u ramion skrzydłami, a przedewszystkiem lubią ładne dziewuchy, ściskają je i całują... Opowiadania Magdy rozciekawiły Ankę, podobne do tych bajek, których w dziecinnych latach nasłuchała się podczas wieczornych gawęd przy kominku. Od tej pory wzięła ją chętka choć jednego rycerza zobaczyć. Myśląc o tem, pytała się samej siebie, czy teżby ona takiemu rycerzowi przypadkiem nie podobała się? czyby z niej nie zrobił księżniczki, czyby też nie kupił jej promieniejącej, jak księżyc sukni i najmniejszych na świecie pantofelków. A cóż—myślała—kopciuszek mógł się podobać, czemużbym ja nie uzyskała choć jednego serca? I teraz takie myśli przebiegały jej po głowie. Czasami wątpiła w nie i wtedy z pewną obawą zwracając się do rodziców, lub Stacha, rzucała z nienacka pytania, jak wyglądają ci rycerze, czy ich zbroja błyszczy się, jak złoto, czy mają skrzydła u ra-

mion i tym podobne drobnostki ją interesowały, ale odpowiedzi na nie nie odbierała wcale, bo każdy myśl swoją kierował w inną zupełnie stronę, a Stach przyspieszał kroku, byleby rychlej do krzaków dotrzeć.

— Tam człek może choć przykucnąć, a już go nie dostrzegą tak prędko—mówił—a jak wejdziemy w gąszcz, to koniem tam nie dojedzie. Już do lasu nie będzie więcej, jak dwie staje drogi.

Wtem z za boru wybiegają konie parskając, a na nich rycerze pobrzękują orężem.

Zimny pot oblał wszystkich. Stach spojrzał dokoła: puste pole, niema się gdzie skryć, więc stanął na czele, wzniósł tęgi dębczak do góry i stał tak przygotowany zmierzyć nim każdego, ktoby śmiał wyciągnąć rękę po jego ukochaną Ankę. Ale Wiesiołkowie hamowali go, mówiąc:

— Daj pokój, ze dwudziestu tam jedzie... co chcesz czynić!

— Choćby stu—odrzekł.

— Rozsiekają cię.

— Ale pierwszego, bo póki żyć będę, Anki im niedam!...

Nim skończył, usta mu pobladły i zaczęły drgać konwulsyjnie, a po twarzy potoczyły się łzy, niby perły rozsypanę.

— A wy gdzie chamy—zawołał głośno, najeżdżając koniem bogato ubrany rycerz.

— Do wsi — mruknął Wiesiołek cicho, kłaniając się do ziemi.—Wracamy z odpustu.

— A gdzie to był odpust?

Wiesiołek zająknął się.

— Gdzie? gdzie?—wołał ów pan na koniu—Święty Michał już dawno minął, Zaduszki także, a innego świętego z odpustami niema.

— To nie heretyk—pomyślała Anka—kiedy jej ojciec kłaniał się nisko, jakby tym chciał przebłagać za niezręczne swoje kłamstwo.

— Szpiegi—krzyknął starszy jegomość, ale drugi dostojnie ubrany tłumaczył mu:

— Głupie chłopy, bydło... i nic więcej. Ale przypatrzno się tej dziewczynie, ładna?

— A to ją wziąć do obozu na gospodynię — odparł tamten, śmiejąc się znacząco.

— Hola—zawołał Stach—nie tak prędko, nie pozwolę jej brać, bo ona moja. Dziś jesteśma po zarękowinach.

Ale nie słuchano jego tłumaczeń. Zeskoczyło z koni kilkunastu żołnierzy, odepchnęli, a potem przytrzymali parobka, pochwycili Ankę w pół, wsadzili na konia i pędem zmierzyli do owrotu.

Stach porwał się też i cwałem podążył za uciekającymi, zostawiając osłupiałych Wiesiołków. Ale gdzie to człowiekowi z końmi się równać... Biegł staję, dwie, trzy, dziesięć, aż wreszcie zdyszany padł na ziemię.

II.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Nieśmiałe jesienne słońce, niby dziewica młoda, a zawstydzona, prędko zbiegało z horyzontr, aby ukryć swoją zarumienioną twarz za wzgórzami otaczającemi wąwóz, w którym rozłożyło się wojsko, zostające pod wodzą wielkiego hetmana Rewery Potockiego. Co prawda, nie wiele tam było regularnego rycerstwa, rwącego się duszą do walki, nie wiele było takich, którzy szli z przekonaniem. Wyglądało to raczej na zbiegowisko ludzi, których zemsta, prywata, albo wreszcie osobiste urazy zapędziły w szeregi, stojące po stronie uzurpatora...

W obozowisku jednakże było wesoło.

Rozłożona na złupionych miękkich makatach i cennych dywanach, w swoich tłustych juchtowych butach, szlachta z rozkoszą delektowała się dobrym starym miodem, i wygrzewała się, gwarząc o różnych przypadłościach zaszłych podczas walk stoczonych na własnej ziemi. Rozgrzewający i oszołomiający tru-

nek dodawał szczerości, w której wszystkie urazy do króla szukającego na obcej ziemi schronienia, wypływały jawnie.

Kuchciki tymczasem dla pijących panów przyszykowywali wieczerzę. Przy rozłożonych opodal ogniskach piekły się ogromne pieczenie, kotły buchały parą, tygle trzeszczały od smażącej się w nich słoniny. Miała to być uczta niezwykła i spokojniejsza niż kiedykolwiek, gdyż kraj cały został podbity i upokorzony, a losy jego dzierżył najpierw król Szwedzki, a potem szlachta w swoim ręku, tak przynajmniej myślano w obozie, w samej rzeczy dzierżyli je możni, na których czele stał zdrajca Hieronim Radziejowski i Krzysztof Opaliński.

* * *

Obóz, jak to się zwykle dzieje, rozdzielił się na kilkanaście kółek. Zachodnią część wąwozu zajęli wyłącznie Aryanie, których niewielka garstka znalazła się tu również wiedziona urazami. Na czele stał Jędrzej Wiszowaty, pan możny i człowiek, jak mówiła szlachta, bez najmniejszej wady, oprócz tej, że był przez dyabła oszołomiony i aryański wyznawał zabonon. Nie lubiono w Polsce tej sekty, a duchowieństwo katolickie nieustannie wpływając .na szlachtę, wyjednało, że już od roku 1637 coraz to większe ograniczenia sekty aryańskiej postanawiano na sejmach. Nic więc dziwnego, że zwolennicy tego wy-

znania, widząc się tak upokorzonymi, z radością witali nowego króla, żywiąc nadzieje, iż ten, sam dyssydent, da im pewne prawa i przywróci dawne przywileje.

Król Karol Gustaw bezwątpienia w tej chwili był panem Polski, a więc też i Aryanie, chociaż ludzie więcej wstrzemięźliwi, podpijali miodek i gwarzyli głośno, swobodnie i może poraz pierwszy od lat dwudziestu tak swobodnie, kiedy ku nim zbliżył się z sąsiedniego obozu tłusty, może czerdziesto-letni szlachcic, rotmistrz Chociwski, człek wesół i dowcipny, a zwłaszcza cięty w przedrwiwaniach „głupiego zabobonu aryańskiego“, o którym lubił często dysputować.

— Weseli jesteście—sapiąc woła Chociwski—weseli. Jan Kazimierz wygnany, Karol Gustaw lada chwila ukoronuje się. Cały kraj w naszym ręku, jak się uprzemy to i was na świętą wiarę katolicką nawrócimy!

— Albo my was na naszą -- odparł z docinkiem Wiszowaty—wszak będziemy mieli króla, który poznał światło boże.

— Ho, na to nie liczcie asany. Wszakże przyrzekł nam wychrzcić się należycie i to z pewnością uczyni. Inaczej nie przyjęlibyśmy go, a nawet nie mógłby się koronować, bo nie jęłyby się łba heretyka święte oleje.

— Wiecie, że do pełnego trudno dolać kropelkę, bo albo nie wejdzie, albo stoczy się na ziemię —od-

parł Wiszowaty—a zatem musi każdy heretyk mieć dosyć we łbie oleju, skoro go się nie ima. ale zato waszym głowom brak go więcej, niż go potrzeba na namaszczenie głowy królewskiej.

— Mości Wiszowaty nie zapominaj się, że was z łaski w obozie trzymamy. Patrzcie, heretycy jeszcze nam tu o oleju gadać będą, kiedy we łbach pustki mają. Jak my zechcemy to z was tu za godzinę, ani popiołu nie będzie.

— A cóż to my, a wy, mości Chociwski, czy to jest jaka różnica?—zapytał się poważnie Wiszowaty.

— A jużci jest. Was połowę wygnano już z Rzeczypospolitej. Ty sam jesteś banitą—a my te prawa stanowili.

— Prawda. W nas i w was inna krew płynie. My inaczej myślimy niżeli wy i inaczej życzymy Rzeczypospolitej, a zamiast polskiego, używamy mongolskiego języka. W synach naszych wychowujemy jeno wrogów Koronie polskiej, którzy z wami bić się i przelewać krwi swojej na kresy nie pójdą. Dziś nawet, obozując w tem miejscu, nie podzielamy waszych trudów i poglądów, choć już od roku 1637 prześladujecie nas bez zastanowienia, tępiąc, jak dzikiego, żarłocznego, lub szkodliwego zwierza. Wydajecie na sejmach postanowienia uniemożliwiające nam własną obronę, robicie z nami co chcecie, a my nawet oponować publicznie nie możemy, bo aryanom wzbroniliście wstępu do sejmu. Mniemacie, że sprowadzamy na kraj nasz pomstę bożą. Ciekawy je-

stem kto tę pomstę sprowadza, kto zasiewa waśnie pomiędzy braćmi? Ciekawy jestem kto z nas jest tym Kainem, o którym tak rozważnie mówi „pismo żydowskie?“

Chociwski oddawna nie słyszał tak śmiało wypowiedzianych słów z ust Aryan. I nic dziwnego, podobne wycieczki wzbronione im były. Dziś kiedy stosunki przybrały zupełnie inny charakter, przewódcy „sekty“ wystąpili jawnie. W słowach tych przebijała prawda i to uderzyło bardzo Chociwskiego, wywierając na nim takie wrażenie, jak pryśnięcie wodą na twarz omdlałego człowieka. Udał jednakże, iż niepodlega wrażeniom i śmiejąc się głośno rzekł:

— Patrzcie, Arjanom puściły śluzy w gębie.

— Puściły śluzy żalu—dodał poważnie Wiszowaty i mówił dalej.—Bo i coście z nami zrobili? Mieliśmy jedną, jedyną szkołę w Rakowie, gdzie dzieci nasze uczęszczały na naukę, aby ich za granice nie wysyłać. Przeprowadziliście na sejmie wniosek, aby ją zamknąć. Biskup krakowski Jakób Zadzik rozpędził nas, zburzył naszą szkołę, zniszczył nam drukarnie, a resztki, które nie poszły z dymem, kazał utopić w Czarnej... Na fundamentach naszych Aten sarmackich, założył kościół wasz święty katolicki, a tam gdzie kiedyś stał krzyż, wzniósł figurę, a dla większego naszego upokorzenia napisał:

„Tu Aryanie mękę bożą potłukli, dla tego też ich sekta wygnana jest z Rakowa 1637 roku“, na dru-

giej zaś stronie: „Boże daj im zmiłowanie." Czy się to tak dziać powinno w wolnej Rzeczypospolitej?

— Nie łgałbyś mości Wiszowaty — odparł Chociwski.—Wymyśla Rzeczypospolitej, a cóż ona winna? Raków założył wam Jan Sienieński, wojewoda podolski, człek wysoko wykształcony, bo się za granicami promował. Znałem ci ja go trochę, ale mój ojciec znał go jak zły szeląg, bośmy w jednych wychowani stronach. Ów Sienieński, za poselstwo do Turcyi, gdzie załatwił jako tako sprawy graniczne, został żarnowskim, a później lwowskim kasztelanem. To było jakoś, jak mi ojciec mówił, we trzy lata po śmierci króla Zygmunta Augusta. Potem kiedy wlazł na tron ten Węgier Batory, natychmiast go wyprawił do przejrzenia pomiaru i opisania Ziem podolskich, oraz Ukrainy. Ale pono on się na tem tak gruntownie nie znał, jeno, że dobrał sobie biegłego pomocnika imci Stanisława Sarneckiego i ztąd znaczna jego sława urosła. Jeszcze za ostatniego Jagiellona ów Sienieński sprzeniewierzył się świętej wierze katolickiej i przyjął wyznanie reformowane. Ale czy to się złe na jednem skończy? Otóż i on ożenił się z aryanką, młodziutką, a piękną Jadwigą Gnojeńską, herbu „Warmia", a ta starego męża na gorszą jeszcze nakręciła herezyę. Szlachcic zgłupiał do reszty i zamiast kościoły budować, wystawił miasto. Na cześć herbu swojej magnifiki, który przedstawia wewnątrz brzydką gadzinę, nazwał je Rakowem. W mieście tem założył zbór, szkoły i wreszcie drukarnię So-

cyańską. W tych czasach zjechał do domu starego ojca, młody mężczyzna, syn z pierwszego małżeństwa Sienieńskiego, Jakób. Otrzymawszy za granicą również, jak i ojciec staranne wychowanie, miał chęć służyć sprawom Rzeczypospolitej. Ale młoda, piękna macocha zajęła się najpierw jego nawróceniem i tak tam sobie tę wiarę wykładali, że Jakób nawet pomiaru Ukrainy nie sporządzał, ani sporów o granicę nie załatwiał... Dosyć, że z wyznania reformowanego stał się zaciekłym Aryaninem, podniósł ów Raków, sprowadzał nauczycieli i mistrzów, ulepszał drukarnie, ale to wszystko na dobre nie wyszło. Po jego śmierci odziedziczyła Raków córka jego a wasza stryjna bo wyszła za mąż za Krzysztofa Wiszowatego. Ona to do reszty podkopała egzystencyę tego gniazda aryanizmu. Zmiarkowawszy się, że źle z jej duszą, natychmiast po śmierci nieboszczyka męża, przyjęła prawdziwą naukę wraz z swoim bratem Kazimierzem Sienieńskim, który został Jezuitą i dziś liczy się do najgorętszych przeciwników tej piekielnej herezyi. I pocóż tak gadać po aryańsku, że to Rzeczpospolita zabrała wam Raków? Rzeczpospolita wypełniła jeno wolę właścicielki Rakowa, pobożnej waszej stryjny.

Nim skończył, już wyciągnął czerwoną chustę, obtarł nią pot z czoła, odkaszlnął i z zadowoleniem dodał:

— Jak łgać mości Wiszowaty, to już uczciwie.

Szlachta wybuchnęła gwałtownym śmiechem, niepozwalającym słowa wymówić, gdy jednak przycichło nieco Wiszowaty podniósł się i rzekł spokojnie:

— Stryj mój umarł w 1638 roku, a figura na znak wypędzenia Aryanów z Rakowa nosi datę 1637, przekonajcie się najlepiej bracia czy imci Chociwski się nie myli.

— A cóż to za omyłka? O rok — dobrodzieje. To kpiny.—odezwał się urażony kontuszowiec,—wreszcie mości Wiszowaty nie kontrujcie. Znam ja każdego życie na wylot, znam i waszą historyę. Byliście przed trzydziestu laty nauczycielem dzieci wojewody lubelskiego Tarły, potem wyjechaliście za granicę, a powróciwszy ztamtąd zostaliście Pastorem w Piskach. Gdy zbór tam zamknięto, przenieśliście się aż do Szerszni w kijowskiem. I potem szatan wie gdzieście się nie włóczyli, a zawsze jako pastor i kaznodzieja aryański. Haliczany, Kisielin na Wołyniu, wreszcie Brześć litewski otwierali gościnne podwoje dla waszej nauki. Powinno być Aryanów w Polsce djabeł wie ile, więcej niż ziarn w korcu maku. Ale cóż, jak kto usłyszy, że Zbawiciela naszego nazywacie jeno Człowiekiem, obdarzonym mocą boską, w celu spełnienia zbawienia, albo że Duch święty jest według was jeno siłą boską; gdy kto gada wreszcie, że grzech pierworodny nie istnieje wcale i jest jeno złem dziedzicznem i dziedziczną skłonnością do złego, kto do tego odrzuca wiarę w odpuszczenie, a sakramenta nazywa jeno obrzędami sta-

rodawnymi i pięknymi, toć ludzie muszą się zaraz zmiarkować na takiej nauce i powiedzieć sobie, że ci koryfeusze aryańscy djabła noszą za kołnierzem.

Szlachta śmiała się do rozpuku.

— Mości Chociwski, — rzekł Wiszowaty, — nie naśmiewaj się jeno z naszego wyznania, bo my się z waszego nie naśmiewamy...

— Bo nasza wiara świętsza i lepsza,—odrzekł, sapiąc, Chociwski.

— Ale dyskrecya w tym względzie, choćby tak było, potrzebna—wtrącił jakiś aryanin z boku.

— Waść nas jej uczyć nie będziesz!...

Wszczęła się wrzawa. Dwa stronnictwa religijne zaczęły się burzyć. Rozmowa przybierała coraz gorętszy namiętniejszy charakter. Jeszcze chwil parę, a ludzie służący jednej sprawie pokłócą się i wezmą się za łby, aby tym dobitnym sposobem przekonać słabszego że Chrystus jest Bogiem, lub, że jest tylko Człowiekiem obdarzonym mocą boską.

Żadne zapewne zajście polityczne nie obudziłoby takiej nienawiści, nie rozpaliłoby tej krwi ziębnącej, nie wywołałoby takich dysput, jak ta nierozwiązana i nierozstrzygniona kwestya religijna.

Jeszcze chwilkę, a ci gorliwi obrońcy zasad świętej wiary rzucą się na siebie, będą się mordowali, zapominając o tem, że każde z wyznań zabrania podobnych postępków, zwłaszcza gdy te są skierowane przeciwko bratu. Zaciekłość tak się wzmagała, że niedostrzeżono nawet gdy między tłumem

przecisnął się sześćdziesięcio-paro letni starzec z długą białą brodą, o gołej prawie głowie, i stanął pomiędzy najzacieklejszymi przeciwnikami.

— Waść kto, ubrany tak z niemiecka?—krzyknęło kilkadziesiąt głosów.

— Jakto więc mnie nie poznajecie? — odezwa się czystą polską mową.

— Zkądby?—wołano,—zkądby...

— Schlichting—rzekł półgłosem Wiszowaty.

— Schlichting!—zawołała szlachta.—Witaj nam witaj,—powtarzali jedni; siadaj i pij dorzucali drudzy, a tłum wzrastał z powodu swarów coraz więcej, tylko mocno podpici nie spieszyli w tę stronę... Gwarno więc było, a każdy na swój sposób dowodził to o tem, to o owem.

— Patrzcie i on powrócił z wygnania, skorośmy sobie Szweda za króla zdeklarowali—wołano radośnie, z pewną dumą i fantazyą.

Ale Schlichting stał, jak posąg blady nieruchomy, jeno oczy mu biegały dokoła, jakby chciał wszystkich poznać, policzyć i zmierzyć siłę w tym przeciwniku.

— A cóż ty nic nie mówisz?—wołała naprzemian szlachta, — Pij, pij, bracie, nie obawiaj się nic, bo kraj cały w naszym ręku i króla szwedzkiego Karola Gustawa. Ten co cię skazał na banicyę, sam bąnitą. Tak to na świecie tak, jeden pod wozem, drugi na wozie. Teraz i Jan Kazimierz musi być rozworą. .

— I dla tego tak się cieszycie?—pytał Schlichting.

— A pewnie nie z innych powodów,—odezwały się pojedyncze głosy.

— To źle moi bracia.

— Jak to?—wrzasnęli podpici.

— Wasze wnuki przeklinać was będą.

— Schlichting, Schlichting, milcz! — wołała szlachta.

— Nie umilknę, jeśli zaś każecie milczeć, pójdę precz z kraju na wygnanie, tam gdzie dziesięć lat ostatnich spędziłem, aby nie patrzyć na wasze bezprawia.

— Co się z tobą stało. Tyś przekupiony pewnie przez króla, przez banitę, wołali w tłumie.

— Racya, przekupiony jestem. Schlichting zgłupiał już do reszty i zapomniał o tem, że aby dopiąć celu, jako przekupiony, powinien postępować łagodnie, ostrożnie, pojednawczo. Stary głupiec, on przyszedł was drażnić, was pijanych i rozweselonych, pełnych iluzyi i nadziei, rokujących wam tyle łask, które mają spaść na was z nowo-przybyłym królem, również jak wy ambitnym, ale również, jak wy płydkim i nikczemnym!

Rozłożona szlachta skoczyła na równe nogi, dzikie okrzyki wyrwały się z ust tłumu, setki szabel trącając się w powietrzu o siebie zabrzęczały i zawisły nad głową sześćdziesięcio kilko letniego starca, który niepolitycznem słowem obraził zebra-

nych zwycięzców. Schlichting stał spokojnie i zimnym przenikliwym wzrokiem mierzył tę czeredę podpitą, oraz odpychał najszkodliwsze ciosy.

— Precz z nim, precz,—wołano w tłumie.

— Shlichting na chwilę przymilkł... potem roześmiał się tak sarkastycznie, że śmiech ten oddziałał na zebranych silniej, aniżeli wieczorna rosa, na zasuszone dziennem skwarem kwiaty, a potem z głębi serca pochodzącym głosem dodał: Jak ja umilknę, czy umilknie i wasze sumienie.

— A tobie co do naszego sumienia! Bocianem jesteś?—wołała szlachta.

— Do waszego sumienia mnie nic, ale z mojem sumieniem muszę się liczyć. Wychowywałem was w Rakowie, w naszych Atenach Sarmackich, ucząc was pięknych zasad naszej wiary: krytyki czystego rozumu, a uczyłem was najlepiej, jak tylko kto mógł bo wiarę naszą poznałem z ust nieśmiertelnego Faustyna Socyana.

— Prawda,—przerwał Wiszowaty.

— Nie zapomnę, — mówił dalej Schlichting tej sceny, kiedy z moim ojcem, mieszczaninem z Bukowca Wielkopolskiego, gdzie się też rodziłem, przybyliśmy do Krakowa w jakiejś ważnej sprawie. Wchodząc — na rynku spotkaliśmy tłumy paniczów w czarne, długie przyodzianych szaty. Odzież jednakże nie pasowała z twarzą. Biegli oni z okrzykami radości, ze śmiechem na ustach; lecz wśród tego tłumu brzmiał jakiś bolesny jęk i syk, który do-

bywał się rażąco. Zbliżywszy się nieco zobaczyliśmy ciało człowieka o bladej twarzy, ciemnych oczach zapadłych policzkach. Rozszalała gawiedź wlokła je po ulicach. Zdziwiony ojciec pyta się przekupek: co to ma znaczyć i kogo tak biją, czy nie złodzieja?

Pamiętam, jak dziś, odpowiedź tej jędzy, z odrażającą twarzą, która śmiejąc się rzekła: „Gorzej jak złodzieja! bo to widzicie ci panowie to są krakowscy studenci...

Podochoceni poszli oni do mieszkania tego heretyka, wywlekli go chorego z łóżka, a teraz tłuką na chwałę Bożą“. I zaczęła się śmiać przeraźliwie. Ale mój ojciec nie słuchał reszty, skoczył pomiędzy wlokących starca paniczów, poturbował kilku, łby o łby porozbijał, a nim się opamiętali, już niósł na ramieniu nieszczęśliwego. Potem włożył go na swój wózek, okrył własną sukmaną i odwiózł do pobliskiej wioski Łucławic, gdzie Socyjaw miał swoją siedzibę.

— Heretyk za heretykiem — odezwał się chrapliwym głosem imci Chociwski.

— Mój ojciec do śmierci był katolikiem; ale czyż Chrystus nie powiedział przypowieści o samarytaninie? czy nie nazwał czynu podobnego szlachetnym?

Ale cóż ja mam do was mówić o szlachectwie alboście wy szlachcice? albo w piersiach waszych znalazłem choć skrę szlachetności? Gdzie tam, Wasza szlachetność zasadza się na przywilejach zabez-

pieczających wam próżniacze życie. Przywykliście do tego. I teraz idziecie za nowym królem, bo spodziewacie się od niego nowych łask, nagród i datków. Wasza szlachetność kupiona nie sławą, nie krwią, nie honorem, ale obietnicą, nędzną obietnicą... Z niecierpliwością oczekujecie tych czasów, rozkładając się na miękkich makatach, pozabieranych z kościołów, tak samo, jak katolicy pozabierali je z waszych zborów, nie robiąc sobie skrupułu. Jeden sięga do drugiego kieszeni, a wzajem kłaniacie się sobie czcząc wasze wielkie przymioty; szlachectwo i urodzenie. Ale krew wasza zakażona, rozumy oszołomione, serca wyziębnięte. To wasze szlachectwo, zamiast służyć ojczyźnie waszej, kochać ją za faworyzowanie was, wy ją zdradzacie, odstępujecie, sprzedajecie bez najmniejszego skrupułu, a potem weselicie się nad waszym własnym moralnym upadkiem.

— Schlichting, Schlichting, milcz, uspokój się — wołała, coraz więcej rozdrażniona, szlachta.

Ale starzec nie słuchał tych głosów i mówił dalej:

— Uważacie mnie za waszego wroga, ale ja jestem waszym przyjacielem i pragnąłbym was widzieć uczciwych i szlachetnych, wspaniałych i silnych, potężnych i dumnych, nie zaś zarozumiałych, nadętych, bezwładnych, upodlonych. Tego nie wyssaliście z piersi matek, aniście z sobą na świat przynieśli; to zły duch was tak poniżył. Zrobiliście się w jego ręku narzędziem, niszczącym ustrój potężnej Rzeczypospo-

litej. Mój ojciec był kowalem. Skóra mu na rękach stwardniała od pracy, książek nie czytał uczonych, ewangelji nie rozumiał dobrze, a jednak miał uczciwe serce, wzniosłą duszę, kochał ojczyznę i bliźnich, niepytając się oto, jak oni Boga chwalą...

Z wdzięcznością też przycisnął mnie do piersi Faustyn Socyan i powiedział mi: „ty malcze będziesz moim uczniem, ja cię nauczę miłości bliźniego. A ja go ukochałem w jednej chwili, w nieszczęściu. Odtąd jestem zapalonym Jego i jego wiary zwolennikiem. Kocham swoje wyznanie i dla tego was kocham, choć nie zasłużyliście na to.

— Hej mości panie, hamuj twoje słowa —wołano coraz gwałtowniej w tłumie,—bo tu nietylko innowiercy sami.

— Mości panowie — mówił nie zważając na to Schlichting, —nie przyszedłem was głaskać, ale gorzką wypowiedzieć prawdę, która przygniata moje sumienie. Byłem i ja młodszym, więcej porywczym i dlatego niejednokrotnie zgrzeszyłem. Wiem o tem i dziś czuję więcej niż każdy z was wyrzutów. Aby zadość uczynić sumieniu, przyszedłem wam wypowiedzieć wszystko co czuję i cierpię. Spowiedź będzie straszna, przebaczenia od was nie żądam, pragnę tylko sądu bezwzględnego, surowego. Przewiduję z góry, że wypadnie on dla mnie strasznym: posiekacie mnie, bo na to zasłużyłem. Żądam jednakże jak każdy delikwent wolnego głosu. Obywatele Rzeczypospolitej powinni go udzielić każdemu. Hamujcie się

przeto, gdy was urażę, wszak i tak czeka mnie śmierć nieomylna, a zatem i wasze zadość uczynienie w tym spłynie. Szanujcie mnie jako delikwenta, którego ostatnie godziny są policzone.

Ucichł, ale i szlachta milczała, bo nikt nie śmiał przerywać tej ciszy.

Wychowywałem się, mówił nieco łagodniejszym głosem, przez lat parę u Faustyna Socyana. Jemu to zawdzięczam moją karyerę naukową, on mnie wyznaczył skromne fundusze na dalsze studya po za granicami kraju. Po powrocie zostałem pastorem w Rakowie, później kiedy znieśli tam nasze zakłady naukowe i zbór, przeniosłem się do Łucławic. Z początku młody i burzliwy, ufny w swoje siły, chciałem gwałtem bronić zasad naszej wiary. Z ufnością w prawość i wielkość naszych pojęć nakreśliłem moje dzieło: „Confessio fidei Christianne,“ które niepospolitej narobiło wrzawy. Ale przeciwnicy moi byli silniejsi i wymogli to, że w 1642 roku spaloną została moja praca publicznie, a kat z szyderstwem podkładał rozpaloną pochodnię pod księgi, nad którymi tyle lat pracowałem. Lud ciemny, niewnikający w postać rzeczy, śmiał się i szydził, ten sam rodzaj studentów, co kiedyś wywlókł biednego chorego starca, naszego mistrza Socyana z łóżka, śpiewał po ulicy piosenki satyryczne. Rozdrażniony sarkazmem rzuciłem się na przeciwników. W każdem słowie, w każdem kazaniu podchwytywałem ich nielogiczne myśli, wydrwiwałem obłudne ich zasady, niweczyłem ich

plany, słowem na każdym kroku, jak wściekły szarpałem podejrzaną sławę tych ułożonych świętoszków.. Czyniłem toż samo co wy w tej chwili czyniliście z nami, ale tylko mszcząc się, ale tylko wywzajemniając się za wyrządzoną mi krzywdę. Dziecko ze mnie było. Nie zastanawiałem się nad tem, że idee nie palą się na stosie, że myśli nie giną nawet w płomieniach, a niby tak radykalne środki zniszczenia, jakich dopuszczali się moi przeciwnicy, więcej ich kompromitowały. Nie byłem i ja bez winy, łącząc nasze wyznanie z interesami Rzeczypospolitej, ale na moje usprawiedliwienie powiem, że w zapale, w porywczości, czyniłem to tylko, co ogół czynił, i czem garść naszych upakarzał. Było to błędem, grubym błędem, było to poprostu waryactwem.

— Hola mości Schlichtingu, wiara to nie waryactwo, przerwał z uśmiechem, sapiąc Chociwski.

— Słuchajcie, mówił, niezwracając na Chociwskiego uwagi, to co wam tu przedstawiam, to mi sumienie dyktuje i obowiązek każe. Aby was lepiej o tem przekonać opiszę historyę, której byłem naocznym świadkiem.

Kiedy zacząłem co raz ostrzej dysputować z przedstawicielami upaństwowionej religii, przeciwnicy moi draśnięci i oburzeni na mnie znaleźli sposób: Uchwałą sejmu warszawskiego z 1647 roku, zostałem wydalonym z kraju. O wtedy moje serce mało się nie rozdarło, sumienie zaczęło fermentować, psuć się, słabnąć; za to zwierzęcość odrodziła się silnie. Radbym,

jak tygrys raniony, rzucić się na przeciwnika, aby go rozedrzeć. Byłem rzeczywiście dzikim, jak zwierz, gwałtownym jak wulkan, wzburzonym, jak rozhukane morze. Chciałem gnieść, rozbijać, miażdzyć wszystkich, niemyślących tak, jak ja. Żadne ludzkie, ani boskie uczucie nie było wstanie mnie pohamować, żadna moralna chwila przetworzyć lub poruszyć... zdaje się nic człowieczego wtedy w tej duszy nie istniało... Jak to dobrze, że Stwórca dając człowiekowi tak nieograniczoną wyobraźnię i tak rozszalałe chucie, ograniczył jego fizyczne siły, bo wtedy niktby go powstrzymać nie mógł. A jednak nasze socyańskie, jak i waszej religyi zasady, powtarzałem codzień—mówiąc: „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“... Czemuż ta wielka idea nie złamała mnie, nie upokorzyła?

Nie mogąc dłużej ukrywać się u przychylnej mi szlachty, opuściłem kraj nasz, udając się do Holandyi, gdzie zająłem się wykształceniem Zbigniewa Sienieńskiego. Po drodze zwiedzałem wszystkie większe zakłady, a jeden z moich znajomych wprowadził mnie do domu obłąkanych w Lipsku. Jedną salę zapełniali sami uczeni. Byli to waryaci nieszkodliwi. Jeden z nich nosił przy sobie pudełko i utrzymywał, że w nim jest ukryta tajemnica wkroczenia do Królestwa niebieskiego, bał się jednak skrytki tej uchylić, żeby mu owa niewidzialna mara nie pierzchła i szukał sposobu jakby ową tajemnicę ująć. Drugi nosił lusterko, w którym odbijało się gwiazdziste

niebo. Potrzeba było tylko rozbić szkło, aby się dostać do furty raju. Tłukł wtedy lusterko, szkło rozlatało się, zostawała pusta ramka, w której więcej nie ujrzał lazuru. Inni opowiadali mi swoje przeróżne najdziwaczniejsze systematy, każdy był inny... a niebyło między obłąkanemi takiego, któryby twierdził, że jego systemat błędny. Otóż ci waryaci przypominali mnie was.

— Schlichting, krzyknęło tysiące głosów!

— I nas, dodał spokojnie Jonasz. Nasze spory religijne to systemata obłąkanych... Wielkie są one i potężne, ale dalej po za nasze głowy nie sięgają! Tak przynajmniej, ja pojąłem tę kwestyę i od tej pory stałem się innym człowiekiem, rozważniejszym, wnikającym w siebie, zgłębiającym każdą istotę rzeczy. Gwałtowność moja ustępowała powoli, ale rozpacz zwiększała się z dniem każdym.

Bezwpływowym w Holandyi nie byłem. Owszem, moje dzieła pozetłomaczono na język francuzki i niemiecki, sam pisałem wiele, nauczałam, ale zasady moje zmieniały się znacznie. W naukach mych oprócz miłości Boga, główny nacisk położyłem na miłość bliźniego. Nie wystarczało mi to jednakże, smutek wdzierał się do głębi piersi, bolałem, bo brakło mi jednej rzeczy, brakło mi mojej ojczyzny!

A jednak, opuszczając kraj, zdawało mi się, że człowiek posiadający wiarę powinien być szczęśliwym, bo ma cel wiecznego życia. Przekonałem się jednakże, iż tak nie jest. Człowiek bez ojczyzny,

to sierota bez rodziny, to wyrzutek społeczny, brak mu w życiu najpiękniejszego skarbu, najwznioślejszej rzeczy, brak mu duszy, łączącej wszystkie inne cnoty w jeden żywotny węzeł... Gdy duszy zabraknie — niema życia!

Ostatnie słowa wymówił szlochając i wkrótce łzy potoczyły się strumieniem po wychudłej zmarszczkami pokrytej twarzy. Przymilkł więc trochę, aby uspokoić się nieco, a potem mówił dalej:

— A czy wy wiecie, dla czego tak tęskniłem do tej ojczyzny, do tej lubej? bo przedemną błąkała się myśl, niby jakaś kobieta, z mieczem w dłoni, niby Michał archanioł, zabraniający mi wejście do tego raju, do tej ukochanej ziemi.

Nieraz siedząc samotny w moim pokoju dumałem godzinami o przeszłości, bo któż wypruje przeszłość z pamięci. Wtedy tak, jak tu was, tak mnie tam na obcej ziemi mrok zastawał zadumanego. Blady miesiąc wychylał się gdzieś z ukrycia, jakby wyobraźnia z pamięci, i wtedy cały nasz świat niby duchy, przesuwały się przed oczyma. Widziałem was szczęśliwych, pełnych życia, z tą bunczuczną miną, w barwnych szatach. Otaczaliście króla, radziliście, sejmikowali... Widziałem was tak, jak dziś widzę, chociaż dzieliło nas wtedy parę tysięcy staj z górą. Obrazy te co chwila zmieniały się, ale za każdą razą były posępniejsze i oto doszło aż do tego, że ujrzałem krzyż, do którego przybijaliście własnymi rękoma ojczyznę.

— Schlichting, Schlichting, dość tego, krzyknęła wzburzona szlachta.

— Pozwólcie mi mówić, wszakże jestem delikwentem; mówił dalej: Tak jest, wyście przykładali do tego ręki. Straszny ten obraz do dziś stoi mi przed oczyma. Oto cały stan szlachecki podnosi krżyż z ukrzyżowaną, po za wami stoją możni faryzeusze z szyderczą miną z Radziojewskim i Opalińskim na czele, a dalej, dalej ludzie, którym tracicie ojczyznę: Oni płaczą, oni was przeklinają. Z tych tłumów wyróżnia się jeden człowiek, który chciał ratować tę nieszczęśliwą, który chciał ratować kraj. Jest to król Jan Kazimierz.

Ale odepchnęliście go, a sami z zapałem ciągniecie sznury, aby prędzej dźwignąć z przybitą ojczyzną krzyż na tej polskiej Golgocie.

Szlachta stała milcząca, przysłuchując się mowie Szlichtinga. Wzrok jej błądził gdzieś daleko na wzgórzach, gdzie jesienny wiatr dął, lekko szeleszcząc zeschłemi liśćmi i pędząc je po polach. Złoty księżyć oświecał słabem światłem krzaki i drzewa, rzucające przed siebie cień słaby. Wszystko to dziwnie uspasabiało zebrane, podpite rycerstwo, któremu zdawało się, że przed oczyma przesuwa się ten straszny obraz. Już Schlichting skończył, a tłumy jeszcze chwile patrzyły przed siebie. Skrzypiąca gałąź w oddali potęgowała i tak naprężoną wyobraźnię. Chociwski pierwszy odezwawszy się przebudził tłumy szlachty z tego wrażenia.

— Waść tu. wizzę, bronisz — mówił sapiąc — Jana Kazimierza, kiedy my mamy już nowego króla Karola Gustawa. Łatwiej ślepemu wzrok odzyskać niż detronizowanemu powrócić na krótestwo, jak Boga jedynego kocham łatwiej, powtórzył, śmiejąc się. Wreszcie cóż waść tu stan szlachecki o zdradę ojczyzny posądzasz, kiedy to nie my, jeno król szarpnął się na prawa walnej Rzeczypospolitej i chciał zgnębić panów, uciemiężyć szlachtę, zniweczyć jej przywileje, jeno stan kmieci podnieść i uprzywilejować... Chłopoman... Ale niedoczekanie jego, bo czyż to świat, słyszał podobne państwo, żeby w nim chłopi żądzili.

— Prawda, wrzasnęła szlachta z ukontentowaniem, jakby się ze snu niemiłego ocknąwszy..

— Jan Kazimierz was od rządu nie myślał odsunąć, jeno chłopom chciał ulżyć, dodał Schlichting.

— Chłopom ulżyć, z pańszczyzny ich zwolnić... a któż to będzie grunta obrabiał, jak szlachta pójdzie na kresy, sapiąc, wołał Chociwski.

— Tak, tak, przerwał Schlichting, niech lepiej chłopi dźwigają potrzeby Rrzeczypospolitej na swoim karku. Przerwaliście mnie tok opowiadania, chciałem wam przedstawić inny jeszcze obraz, który widziałem w Holandji. Na szczyt takiego, jak tu widzicie wzgórza, wznosił jeden człowiek drugiego. Dźwigający był nizki, szczupły, rozpierający się zaś na karku, tęgi i zdrów mężczyzna. Wzgórek nie tak stromy, pojedyńczy człowiek wedrze się bez trudu, nie tak łatwo jednakże wejść z ciężarem. To też,

skoro ów biedny obarczony postąpił kilka kroków na stromej ścieżynce ziemia obsuwała mu się z pod nóg i spadał w przepaść. Gdyby ów jegomość chciał zejść z karku i dołożyć sił własnych, obydwa byliby na górce, ale ów siedzący wygodnie, zamiast to uczynić, śmiał się z biedaka i posądzał coraz częście swego niewolnika, chociaż był przekonanym, że i tym razem zsunie się z nim na ziemię. Kiedy ci dwaj tak się ceregelowali, przyszedł trzeci i cichaczem zajrzał na wierzchołek, zdobywając pożycie i korzyści... Nie tak łatwo zepchnąć go będzie... sądźcie przeto, jak chcecie, upatrujcie we mnie zdrajcę, a jednakże ja wam raz jeszcze powtarzam, że król Jan Kazimierz miał słuszność.

— Aha, zrozumiałem waszmościa, wyznawco zabobonu, zrozumiałem. Ów na karku siedzący i śmiejący się jegomość to niezawodnie jest szlachcic; a ten pod nim, to chłop. Kiep z waścia, kiep dobrodzieju, dodał z oburzeniem. Waść tu sztuki wyrządzasz, jak możesz, aby chłopa wynieść... a cóż z tego będzie? co? pytał, sapiąc, Chociwski...

— A to lis przebiegły, wtorowała mu szlachta...

— Zrozumieliście mnie wybornie i wy Chociwski, przerwał Schlichting, ale nie zrozumieliście jeszcze waszej pozycyi. Widzicie: Pagórek ten zajęli szwedzi i możni, a wy macie się wdzierać dopiero na niego, skoro zaś który z was bliski tego szczęścia, potrzeba jakiejkolwiek nieprzyjaznej ręki, aby jednym jej gestem strącić was w przepaść... Patrzcie tysią-

co was zdeptanych odepchniętych, leży w tej przepaści, którą nazywacie nędzą. Dotyka ona was gorzej niż mieszczan i żydów, chociaż macie herby i przywileje. Ale przywilej chleba nie da, nie nakarmi waszych zgłodniałych dziatek, nie przyodzieje... Musicie trzymać się roli, bo tak wasza duma rodowa każe, bo opinja ogólna nie pozwala się wam niczem innem zająć... Tymczasem mieszczanie zagarnęli w swoje ręce przemysł i handel, ciągnąc z tego największe korzyści. Wszystko to zrobil wam wasi nieprzyjaciele możni, chcąc abyście zawsze byli biednymi, zależnymi od nich... Wy macie przywileje, oni mają starostwa, kasztelanje i inne urzędy... oni trzymają w swem ręku połowę ziemi... oni dzierżą jej trzy razy tyle, co cały stan szlachecki...

— Prawda, wrzasnęła szlachta, prawda... Dzieci nasze jeść nic nie mają, my ubodzy, nie ma sprawiedliwości... niema.

— A więc dla tego idziecie za tymi szatanami, za tymi co wasz kuszą.. Patrzcie, oto jeden pan brzęczy trzosem i idzie naprzód wiodąc za sobą ogon długi, straszny, złożony z dusz i sumień waszych. Garść złota zapaliła umysły, a za tę chwilę, szału odpowiada tysiące dusz, zostających w usłudze rozumu... Tak, tak, dla tej mamony, dla tego bożyszcza gubicie duszę i sumienie, gubicie najcenniejszy przymiot człowieka: szlachectwo. Umrzecie, a dzieje po-

wiedzą zginęli—bezczelni! Jak tu wasze sumienie prowadzi pan pobrzękujący złotem, tak wasze dusze po śmierci przez błota i bagna poprowadzi szatan, do czarnych grot piekieł, a pamięć wyryję czarnemi zgłoskami, jak Kainowi na czole, wasze zasłużone miano...

Jasny księżyc zasłoniły ciemne, czarne chmury, wijąc się w różne straszne, czarujące kształty. Szlachta zebrana z trwogą patrzyła się w te dziwne znaki, w te fantastycznie ułożone obłoki, wystawiając sobie, że mgła ta, to ich dusze... Biegnąca naczele chmura, przedstawiała niby cień głowy mężczyzny z rozwianą brodą... Imaginacya dokonała reszty.

— Cóż mamy robić,—wołali z przerażeniem zebrani.

— Obraliście króla sami—z woli Bożej został on namaszczonym i ukoronowanym, a teraz sprowadzacie niedowiarka i odsuwacie katolika—dla tego jeno żeby zadość uczynić waszym ambicyom, a więcej jeszcze waszym gardłom. Nauczyliście się sejmy zrywać, a teraz chcecie nauczyć się królestwem frymarczyć.. Od rzemyczka do koniczka...

Ale do was mości panowie żalu nie mam i nie przyszedłem was nawracać. Ja z tą oracyą przychodzę do moich braci w Bogu, do aryan. Jakkolwiek leży w tem wasz interes, abyście przy królu dyssydencie stanęli, mówił zwracając się do aryan, bo Gustaw bezsprzecznie zapewni wam więcej praw niż

Jan Kazimierz, proszę was, jak najuprzejmiej, abyście nie protegowali obcego najezdcy...

— Niech się stanie Ojcze niebieski, a Panie nasz, wola Twoja i wasza bracie Schlichtingu, rzekł poważnie Wiszowaty.

— Amen— dorzucił Schlichting.

— My z wami, odezwali się inni.

— No, no, wołał Chociwski, jeno moi bracia nie tak pohopnie, bo już widzę, że z tego nic. Wszak wiecie że Polska w ręku Szweda. Szlachta zbiedniała i przetrzebiona, w króla Kazimierza kabzie pustki, niema więc za co nająć wojska... My sami Szwedom nie podołamy—Nie.

— Zapewne—sami nie podołacie. Ale jest jeszcze tyle tysięcy ludu, przy dobrej woli, nieprzyjaciela czapkami zarzuci. Wiem ci, że namiętności ludzkie to druga natura... nikt nie jest w stanie z tej słabości ludzi wyleczyć, są jednak uczucia, które wstrząsają organizmem i dokonywają zmian strasznych.

Otóż do tych uczuć trzeba zaliczyć sprawy naszego kraju, wobec którego wszystkie inne ustępować powinny.

Krzywdy więc wasze i nieszczęścia ztąd wynikłe, poświęćcie krajowi i złóżcie na ołtarz, jak największą ofiarę.

— Szczerze mówisz—rzekł Wiszowaty.

— Szczerze—powtórzyła szlachta i nie pozwoliła mówić Chociwskiemu, wołając:

— Niech żyje Schlichting!

A Schlichting odpowiedział na to cichym stanowczym głosem:

— Niech żyje król Jan Kazimierz!

Wyraz ten odbił echo trzykrotnych głośnych salw wniesionych na cześć króla wygnańca.

Gdy one ucichły, padł starzec na kolana, wzniósł ręce do góry i głośno rozpoczął modlitwę:

— Boże! my twoje dzieci, zgrzeszyliśmy! Pychę rogatą zasiał w nasze serca szatan, wyrosła ona, jak krzew—w rozumie mający swój owoc—truciznę. Jad ten zakaża krew i przygasza wszystkie cnoty: sprawiedliwości, męztwo, odwagę i honor. Jesteśmy grymaśnemi dziećmi, przenoszącymi łakoć nad chleb powszedni, zabawę nad pracę, obłudę nad prawdę. Kraj złych ma z nas synów. Nie wyrastamy na jej chwałę, ale oszołomieni pychą, zgubę jej pewną gotujemy. Boże—Ojcze nasz—otwórz nam oczy, a z serc naszych wypędź tę gadzinę, która ku wiecznemu upadkowi nas prowadzi, abyśmy godnie mogli służyć naszemu krajowi.

Szlachta nie potrzebowała zachęty. Wszyscy, którzy byli obecni dyspucie Schlichtinga. nie wyłączając Chociwskiego, padli na kolana i wolno, słowo za słowem powtarzali tę świętą modlitwę...

Piękny księżyc wypłynął, jak łabędź, na lazurowe niebo, chmury rozegnał gdzieś wiatr bystry, światło blade ozłacało tę piękną grupę, jakby z letargu powstałych.

III.

Podczas dysputy Schlichtinga w tłumie stał chudy, wybladły mężczyzna, o zapadniętych policzkach, w czarnej długiej sukni, trójgraniastym kapeluszu. Był to Kazimierz Sienieński, kiedyś zagorzały aryanin, dziś niezapamiętały Jezuita. Przyczepił się on do obozu i włóczył się z nim razem, jako niewiem który z rzędu kapelan, z tą myślą, aby ranni żołnierze bez boskiej pomocy i bez sakramentów nie przenosili się na tamten świat. W szczególności zaś lubił przed śmiercią nawracać aryan i z takich wypadków niezmiernie był zadowolniony. Trzymał się więc zawsze w blizkości aryańskiego kółka i od czasu do czasu, gdy się pora zdarzała, odwiedzał go chętnie.

Nie było to z jego strony dziwactwem, sam zaś nie chorował na oryginała. Każdy z ludzi sprzeniewierzywszy się pewnym zasadom politycznym, czy też regułom społecznym, a tem wiecej religijnym, rad zawsze do swego grona przyciągnąć jak naj-

więcej adeptów, aby tem usprawiedliwić swój postępek.

Otóż i ksiądz Kazimierz Sienieński w tych samych znajdował się warunkach. Był przytem śmiały aż do ostateczności i to mu wiele pomagało. Wreszcie nie miał się czego obawiać. Prawo stało po jego stronie.

Z myślą więc religijnych kollokwi, z dyssydentami zbliżał się do obozu. Na nieszczęście uprzedził go Schlichting.

Ukryty w tłumie długo też ksiądz Kazimierz przysłuchiwał się tej herezyi i miał już wystąpić z dowodami w obronie praw szlachty i świętej wiary katolickiej, gdy Schlichting rzucił zebranemu rycerstwu w oczy zarzut, dla czego katolickiego odstąpiła króla. Taki argument nie mógł być łatwo zwalonym i dla tego powstrzymał księdza Sienieńskiego w ukryciu. Czekał on na lepszą okoliczność, ale sprytny aryanin mówił wciąż logicznie, że nawet tak gorący i tak sprytny jezuita, jak Sienieński nie mógł się przyczepić. Modlitwa rozdrażniła go bardziej jeszcze. Nie mógł jej wysłuchać do końca, przykro mu było, że na czele tylu ludzi, w gronie których było połowę katolików, klęczał z wyciągniętymi do góry rękoma pastor aryański.

Zwrócił więc się w inną stronę, aby słów dalszych nie słyszeć, idąc ku swemu namiotowi myślał nad tem dla czego rzeczywiście panowie polscy, katolicy popierają heretyka Szweda.

Wprawdzie Szwed ten obiecał się wychrzcić... Dobre to jest, bo jedna nawrócona owieczka.. ale taka owieczka nieprzydatna na króla—bo jest niezmiernie wątpliwą co do wiary; a w Polsce trzeba gruntownego katolika na tronie, żeby umiał herezyę tępić. Król taki będzie za bardzo wyrozumiałym. Te wszystkie rozumowania, jak błyskawica przesuwające się w bystrym umyśle księdza jezuity, coraz więcej utrwalały go w przekonaniu, że Schlichting miał racyę... Ale tej racyi nie można było przyznać z gruntu spaczonemu barbarzyńcy. Projekt godzien uznania, ale winien wyjść z ust nieskażonych herezyą. Szedł więc segregując myśli gdy mu zastąpił drogę pachołek, skłonił się nizko i rzekł: Ojcze dobrodzieju, pan mój Rewera prosi księdza do siebie.

Uderzyło to Sienieńskiego i zwróciło jego myśli w innym kierunku. Co chce wielki hetman. Czyżby popełnił jaki grzech straszny? Dumając szedł za pachołkiem, który uchylił zasłony od namiotu.

Ksiądz wszedł. Przy stole, na którym stał krzyż żelazny siedział blady Potocki, opuściwszy głowę w dłonie.

Dziwnie zdawał się być przygnębionym, a Sienieński nigdy go w takiem upokorzeniu ducha nie spotykał.

Zakonnik, wchodząc, skłonił się nisko, powitał Boga po łacinie i rzekł cichym głosem:

— Co każesz hetmanie?

Hetman podniósł głowę:

— A to waść mości Sienieński.

— Do usług.

— Słuchaj: Wyszedłem dzisiaj wieczorem obejrzeć obóz i trafiłem na moralną naukę Schlichtinga. Wzruszyła mnie...

— Tego banity, przerwał ksiądz.

— A że widziałem was w tym tłumie, przeto umyślnie wezwałem, aby się spytać: co sądzicie o tem? Sienieński zmięszał się, stanął, jak wryty i nie wiedział co ma odpowiedzić.

Widząc te pomięszanie księdza, rzekł stanowczym głosem Rewera.

— A zatem Schlichting ma racyę. Myśmy zbłądzili. On nam pierwszy oczy otworzył. Czuję całą grozę położenia. Chcę usłuchać jego rady i rehabilitować ten krok nierozważny, którego głównym sprawcą jest Radziejowski.

— Uważam, że Schlichting miał tylko szczęście podobać się waszej mości lepiej niż inni, zdaje mi się jednakże, iż nic nowego nie stworzył. Wszakże mieliśmy już i mamy czyn, a zatem dzieło, mamy krok stanowczy uczyniony w tem względzie.

— Co? zawołał hetman. Ja o niczem niewiem, a wszakże mam najświeższe nowiny.

— Wie wasza mość, jeno przepomina sobie.

Najświętsza Marya Częstochowska broni klasztoru na Jasnej górze. Szwed go dotychczas nie zdobył... Dla czegóż księża niechcą się poddać? Rzecz jasna, nie przyznają królem Karola Gustawa.

Rewera chodził po namiocie dużym krokiem.

— Prawda—odezwał się po chwili— ale Schlichting przedstawił tę rzecz tak jasno, tak dziwnie. W jego mowie było coś gromiącego, strasznego, zniewalającego! Taka szlachetna bezstronność z tych ust wypływała.

— Zapewne—rzekł ksiądz uniżonym głosem—zapewne jaki on wzniosły, jaki szlachetny, jaki uniżony... jak przed dziesięciu laty. Kocha kraj, poświęca się dla niego do tego stopnia, że aż sejm dla utrzymania spokojności na banicye skazać go musiał. I on teraz przychodzi, aby pokonać niezwalczonego męża kraju, aby ująć dla swych idei Rewerę Potockiego! Znamy się na farbowanych lisach. Ale nie narzucam swego zdania. Jeżeli chcesz, ogłoś jutro wielki hetmanie, że z powodu mowy Schlichtinga wypowiadacie posłuszeństwo Karolowi Gustawowi, a wracacie tron Janowi Kazimierzowi. Podnieś sztandar w imieniu Schlichtinga—rzekł z pogardą—dobra będzie firma, bo to rasowa w nim krew płynie. Postawisz go na równi z waszymi przodkami i dygnitarzami polskimi. Na kartach dziejów będzie wypisane: Schlichting, syn kowala, nauczał panów moralności.

Wreszcie sami nie dacie rady najezdcy, a chłopi nie pójdą, walczyć pod takiem hasłem. Ich tylko wiara w wasze szeregi zawezwie.

— Co się jednakże stanie z Schlichtingiem, Wszakże nie mamy prawa odmówić mu zasług?

— Bóg pająka na to stworzył, żeby snuł pajęczynę. Nie jego więc w tem zaleta, że muchy w nie wpadają. Schlichting jest tym pająkiem. Osnuł on sieci, ale niezręczne i słabe. Każ mu się wydalić dziś jeszcze z obozu, a jutro pijana szlachta zapomni o wszystkiem. To powiedziawszy skłonił się i wyszedł z namiotu, pozdrowiwszy hetmana. Zaledwie podszedł kilka kroków, tuż koło gościńca spotkał się ze Schlichtingiem.

— No i cóż — pytał się ten — wasza wielebność chcesz skierować mój projekt na inne drogi.

— Jakto?—przerwał Sienieński z oburzeniem.

— Miała wasza wielebność nawet w tym względzie poufną rozmowę z hetmanem. Niech wam Bóg pomaga — róbcie. Z której partyi wyjdzie ocalenie kraju wszystko mi jedno, chodzi mi o to, aby kraj był ocalony i najezdca Karol Gustaw usunięty. Niech myśl przezemnie rzucona wejdzie i kiełkuje. Bądźcie zdrowi.—Zdjął czapkę i powiedział pochwalonego. Ksiądz odpowiedział mu po łacinie.

— On odchodzi — myślał Sienieński—idąc dalej— ależ nam to na rękę. — I szedł spieszniej zadumany o tem co ma czynić, aby dzieło powrócenia na tron Jana Kazimierza wyszło z inicyatywy katolików, na chwałę boską. Już stanął przed niewielką chatynką, którą zajmował, gdy w oddali dał się słyszeć tentent koni. Ksiądz przystanął trochę. Nadjeżdżający zatrzymali się w obozie. Z daleka dolatywały księdza z początku szepty, a potem coraz głośniejsze swary,

więc podążył w tę stronę. Otoczona kilkunastu rycerzami stała strojnie ubrana wiejska dziewczyna.

— A to co za rozpusta, bezbożnicy — krzyknął ksiądz swoim piskliwym głosem, aż zasyczało. —Bezeceństwo, bezeceństwo, na noc świętą; kłócicie się o białogłowę.—Wszedł w koło i pytał:—kto taka?— A ona z nieśmiałością całując go w rękę rzekła:

— Jestem Anka, Wiesiołków córka z Nawojowej. Wzięli mnie w dzień zarękowin.

— Pójdź ze mną moje dziecię—rzekł ksiądz i ujął ją za drżącą rękę, prowadząc do swego mieszkania. Nie bój się nic, włos ci z głowy nie spadnie.

IV.

Na drugi dzień rano ruch był niezmierny w obozie. Hetman wydał rozporządzenie natychmiastowego wymarszu, więc szykowali się wszyscy. Jeden ksiądz Sienieński zaspał, bo do północka zasnąć nie mógł i teraz ledwie oczy przetarłszy, śpieszył się na mszę. Alić, ledwie wyszedł z namiotu już ujrzał tłum ludzi w siermięgach z pałkami dążących do obozu.

Dostrzegły to wpierw straże, a Rewera zawsze baczny i przytomny wystawił skrzydło z dwóch kompanii, mające stawić opór, gdyby do starcia przyszło.

Ocenił całą grozę położenia ksiądz Sienieński w jednej chwili, choć nie był strategikiem. Pośpieszył więc w tę stronę, dobywszy z za pasa na długim różańcu zawieszony duży metalowy krzyż, z którym szedł naprzód do zbliżających się wołając:

— Oto jest Zbawiciel i Pan wasz. On was w nieszczęściu nie opuści.— I szedł dalej wolno poważnie

z nieopisaną chęcią powstrzymania tych zapędów. Nie szło mu tym razem o parę łbów chłopstwa, albo i kilka karków szlachty, na którychby dębowe kije popękały, chodziło mu o przeprowadzenie kombinowanych w czasie nocy planów, których celem było przywrócenie na tron Jana Kazimierza, za pomocą stronnictwa „katolickiego.“ Po starciu chłopstwa ze szlachtą nie byłoby można marzyć o tem, aby chłopi wraz z rycerstwem porwali się na Szweda. Rozumiał to dobrze ksiądz Sienieński, boć przecie nie potrzeba było na to zbyt wielkiej kalkulacyi. Chciał to powstrzymać i udało mu się w zupełności. Zimna jego krew, powaga, przytem śmiałe wystąpienie z krzyżem podniesionym w ręku oddziałały zbawiennie na zebrane chłopstwo. Pierwszy Stach Piotrkowszczyk idący na czele opuścił pałkę, a zanim poszli i inni. Widząc to ksiądz szedł śmielej i pytał się bezpieczniej:

— Czego chcecie, co was tu sprowadza?

Stach skłonił się nizko, inni chłopi odkryli głowy i stanęli milcząc. Dopiero po pauzie młody chłopak począł mówić:

— Ojcze wielebny, wybaczcie, iż idziemy taką kupą, ale już inaczej rady dać sobie nie możemy. Rok mija z górą jak dobytek nasz ginie; krowy, bydło, świnki zabierają nam z zagród naszych.

— Prawda, prawda—wołano w tłumie.

— Nie tęgi nasz dobytek przepadł ze szczętem. Tysiące nas włóczy się bez dachu, bez schronienia

mrąc głód. Bieda siedzi za pazuchą, bieda siedzi tu —dodał bijąc się w piersi—i coraz więcej tej biedy, a bozkiego zlitowania znikąd. Zabierają nam na hańbę żony, matki, młodochy, gubią nas bez litości. Mnie samemu wczoraj zabrali młodochę krasną, jak kwiatek, dobrą jak gołąb. Od tej pory jestem jak ogłupiały, ludzie się nademną litują, a ratunku żadnego znikąd, ani pociechy. Wewnątrz człowieka siarkowym ogniem pali, po skórze drzączka przechodzi, głowę niby klinami łupią, a zmiłowania nikaj i nikaj Tak—powtórzono, rozdzierającym głosem, w tłumie.

— Więc idziemy i sami na zgubę — mówił dalej Stach—bo już cierpliwości brak.

— I dla jednej dziewuchy chcecie tysiące waszych dusz zgubić? z Bogiem zadrzeć, ukrzyżować powtórnie Jezusa Chrystusa, a wiecie dla czego wszystko to robicie? Oto dyabeł was opętał, w ciele waszym zrobił sobie gniazdo, aby tam najgorsze chucie wylęgać, a wy zamiast prosić Boga o pokonanie złego, wy tym chuciom zadość jeszcze czynicie, karmiąc je własną krwią, ogrzewając własnym oddechem.

—Ha, kiedyście na tej stanęli drodze, idźcie bić rabować... idźcie przelewać krew katolicką, którą Chrystus odkupił... Kończąc to usunął im się z drogi

Ale chłopi nie poruszali się z miejsca, a Stach ze łzami wołał: Gdzież zmiłowanie nasze, gdzie?

— U Boga. On jeden was nie opuści. A trzeba Go błagać trzeba, bo straszne jak już wiecie nasłał czasy.

W tłumie odezwały się łkania, z początku rzadkie, potem coraz częstsze, aż wreszcie zmieniły się w spazmatyczne szlochanie... Lud rozpłakał się, a z nim i Stach pomimo silnej goryczy, która go trapiła nieustannie. Po chwili jednak rzekł:

— Widzi mi się ojcze duchowny, że to nasi zabrali mi dziewkę, bo po naszemu między sobą gwarzyli.

— A cóż ty myślisz, że między naszymi niema niedowiarków. Wszędzie czart wejdzie i wszędzie ludzi opęta.

W szczególności zaś ci Arjanie, co tośmy ich wygnali z Rakowa. Ci są najgorszymi, bo nawet w Chrystusa syna Maryi, wierzyć zupełnie nie chcą. Trzeba więc, żebyście swoje pałki zwrócili na te heretyki, bo to oni wam taką szkodę wyrządzili, oni sprowadzili na kraj nasz gniew boży, oni też zapewne porwali twoją młodochę —rzekł, zwracając się do Stacha. — Wreszcie kiedy mówisz, że idziesz za śladem to się zapytam w obozie.

— Prawda!—wołano w tłumie.

Ksiądz tymczasem wracał do obozu przemyśliwając na tem, co zrobić z dziewuchą, oddać ją, czy nie? Przez drogę umyślił, że pod tym tylko warunkiem możnaby było ją zwrócić, gdyby zechciała zeznać, że rycerstwo polskie odbiło ją heretykom.... Z przekonaniem, że namówi do tego dziewkę i wskaże jej dalszą drogę działania, szedł do małej izdebki, a przybywszy odchylił drzwi alkierza. W izbie nie

było nikogo. Zapewne zbiegła. Tem lepiej pomyślał sobie i powracał już do śpiewającego tłumu gdy mu jeden z kompanii Chociwskiego zastąpił drogę:

— Ksiądz kapelan szuka owej dziewczyny? Wykradł ją nasz dziesiętnik, ale mu ją sam Chociwski odbił i teraz pono traktuje śniadaniem, rzekł śmiejąc się dwuznacznie.

Ksiądz drgnął na tę myśl i szedł do namiotu Chociwskiego.

Za improwizowanym stołem siedział tłusty szlachcic. Przed nim na misie trochę wczorajszego mięsiwa, chleb suchy i garniec z piwem. Na ziemi zaś, na dużej miękkiej niedźwiedziej skórze, leżała niby róża, młoda piękna dziewucha. Długi warkocz spływał na ramię i odbijał się bardzo od śnieżnej koszuli. Chociwski poglądał na nią z zadowoleniem i śmiejąc się mówił:

— Zawdy to jeden szlachcic za dwóch chłopów starczy, bo to i krew gorętsza i uroda delikatniejsza. —Nieprawda, hę, co, pytał się znacząco spoglądając z podełba.

Anka milczała.

— Może byś jeszcze co jadła, mówił dalej łagodnym tonem, bo to za godzinę musimy wyjść w drogę rycerskim porządkiem, a w drodze zatrzymywać się niewolno. I cóż się tak patrzysz z pod oka? No, no, nie wstydź się, szwarna z ciebie dziewucha, ani można przypuszczać, że to chłopska krew w to-

bie płynie. Ale ja cię na szlachciankę wykieruję, jak mi Bóg miły wykieruję...

Nieskończył, bo zasłona namiotu się uchyliła i do wnętrza wszedł ksiądz Sieniewski.

Dziewucha pokraśniała bardziej jeszcze, krew uderzyła jej do głowy, jakby ją kto warem oblał.

—Niech będzie pochwalony,—rzekł ksiądz—a potem nagle cofnął się krok i dodał z oburzeniem:— Cóż to waść mości Chociwski z dziewuchą ucztujesz? Czy to tak na rycerza chrześcijanina, katolika przystoi?

— Czyż to ja mnich, albo człek żonaty, żebym stronił od dziewki.

— Ale ona już ślubowała...

— Jeno była po zarękowinach, jak sama mówi.

— Choćby tak, to już należy do parobka, któremu słowo dała, a waść porwał ją i tu u siebie trzyma. Czy to przyzwoicie?

— A no, toć wam mój kapelanie chciałem dogodzić, i dla tego ją wam z chaty zabrałem. Przecież dziewka mnie więcej przystoi niż wam. Wdzięczni powinniście być mnie, żem wasz honor salwował, bo coby to ludzkie języki powiedziały.

Ksiądz zaczerwienił się i nie mógł na razie dowcipnej wynaleźć odpowiedzi. ale po chwili rzekł:

— Parobek poślubi ją i dla tego trzeba ją zwrócić, bo to źle i grzesznie tak bez błogosławieństwa bożego żyć.

— A któż to waści mówił, że chcę z nią bez błogosławieństwa bożego żyć? A może ja się też z tą dziewczyną ożenię.

Anka wdzięczne przesłała spojrzenie mówiącemu. W spojrzeniu tem odbił się cały nastrój ducha tej biednej dziewczyny, która ani spodziewała się tego szczęścia.

— Będzie sobie szlachcianką,—ciągnął dalej Chociwski i jeszcze jaką szlachcianką.

— A parobek—przerwał ksiądz.

— Ha, kapelanie, widzę, żeście się na równi z królem pochorowali na chłopską manierę, ale nic z tego. Przecież szlachcic ma większe prawo do niej, niżeli jakiś tam cham z Nawojowej. Wreszcie i dziewczyna wie, że lepiej przy mnie zostać, będzie miała dostatek i szaty jakie takie, a tam co? Niewolę i kwita.

Po tej odpowiedzi przekonał się Sieniewski, że Chociwski tak łatwo dziewuchy nie odstąpi, nie można też było wiele co z nim zadzierać, bo lubiła go szlachta i miał znaczenie u swoich z powodu ciętego języka. Przytem i dziewce się podobał. Dla czego? Bóg to raczy wiedzieć, to już sekret kobiecy. Wyszedł więc z namiotu i zdążał do tłumu kończącego pieśń nabożną.

Stach ujrzawszy księdza nie mógł dokończyć pieśni, urywał ją, przekręcał słowa, wreszcie zerwał się i podbiegł do księdza.

— I cóż ojcze wielebny.

— Niema jej tam—odparł spokojnie.—Udzielam wam jednakże błogosławieństwa. Idźcie jej szukać, bo w obozie naszym mówiono mi, że Szwedzi wiedli wczoraj piękną dziewuchę, w czystej jak śnieg koszuli—zawiązanej na czerwoną wstęgę. Oddział ten spieszył w stronę Nowego Sącza. Dziewczę płakało rzewnie, a z piersi na wpół ze łzami wydobywała się pieśń „Kto się w opiekę.“ Jeśli to ona, to silnego ma obrońcę w Bogu i nic się jej złego nie stanie jeno spieszcie się z pomocą. Niech was Matka najświętsza prowadzi, a Jezus Chrystus, Pan nasz błogosławi.—To rzekłszy raz jeszcze podniósł krzyż i żegnał nim ludzi, a potem dawał go całować, kiedy przyklęknął przed księdzem Stach, rzekł do niego:

— Ty zaś chłopcze podziękuj Najświętszej Maryi, bo Ona ma cię w swojej opiece, skoro ci dała taki szacunek u ludzi, że idą z tobą strat swoich i twoich szukać. Idź więc naprzód, nieustraszenie w imieniu Boga i Najświętszej Panny Maryi, a abyś się nie uląkł ani szweda, ani niedowiarka dam ci obrazek z Rzymu z głową cudowną Pana Jezusa. On cię będzie ochraniał zawsze w nieszczęściu i pomoże ci odnaleźć swoją stratę z pewnością. I wyjął z zanadrza obrazek ze swoim podpisem ofiarując go Stachowi. A jak ci bieda dokuczy udaj się wprost do mnie.

Stach biorąc obrazek, padł do nóg księdzu i całował kolana... Juźci Ten Pan Jezus mnie nie opuści myślał.—Cudowna to twarz Zbawiciela.

— Idź, idź, mówił ksiądz, walczyć w obronie wiary świętej katolickiej i twego kościoła, i raz jeszcze przeżegnał tłumy metalowem, u różańca zawieszonym krzyżem.

V.

W Łancucie witali powracającego z wygnania króla Jana Kazimierza twórcy tyszowieckiej konfederacyi z Rewerą Potockim i Stanisławem Lanckorońskim na czele a przy nich cały zastęp możnych dygnitarzy: Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda Czernihowski; Jędrzej Potocki, Oboźny wielki koronny, Jacek Szembek, starosta Bogusławski, Stanisław Domaszewski i pułkownik Wacław Lanckoroński, oraz wielu licznych przedstawicieli duchowieństwa szlachty i rycerstwa.

W paru serdecznych słowach w imieniu konfederacyi przemawiał do króla wielki hetman koronny, Przedstawiając jej znaczenie i dążności.

— Naród polski, mówił on upamiętał się w porę, bo nie dał się do tyla oszołomić pochlebnemi obietnicami wiarołomnego Karola Gustawa, aby pana swego miał się wyprzeć, a żałując za swój błąd, serdecznie pragnie widzieć cię na tronie. Dla tego zawiązaliśmy tę konfederacyę pod Tyszowcami, któ-

ra wypowiedziała posłuszeństwo królowi szwedzkiemu, a stronników jego ogłosiła za wrogów ojczyzny.

Słuchali wszyscy z powagą słów hetmana, a król w rozrzewnieniu uścisnął go serdecznie.

Na złotem pokrytej poduszce, podano królowi pargamin zawierający ustawę Tyszowieckiej konfederacyi i miecz nagi, godło władzy.

Król podjął pergamin i przerzucał gorączkowo oczyma paragrafy. Naraz zatrzymał się i zaczął czytać głośno dobitnie:

„Wszystkim, jakiegokolwiekbądź stanu ludziom, którzy chwycą za broń przeciwko Szwedom konfederacya Tyszowiecka obiecuje nadać prawa szlacheckie.“

Zatrzymał się trochę, położył rękę na piersiach a potem ze wzruszeniem mówił:

— Wierni moi, a bracia w Chrystusie widzę, żem was sądził za surowo. Jesteście jednak narodem więcej żywotnym, więcej szlachetnym, więcej potężnym, aniżeli myślałem i dla tego pragnę nadal żyć z wami i wami rządzić,

Wiem o tem, że panowanie moje żałobną obwódką oznaczą historycy na kartach dziejów naszych, ale w czem moja wina? Czyż w tem, że z woli Wszechmocnego naznaczono mi być królem wtedy, kiedy zbieg okoliczności napędza na tę naszą ojczyznę najwięcej klęsk i nieszczęść. Wiem, że znajdują się ludzie nie wnikający w samą postać rzeczy, którzy będą rzucać na mnie i moje panowanie ka-

mieniem, którzy wyrzucać mi będą, żem nie umiał powstrzymać tego uraganu. Czyż mnie tak należy rozumieć?

Każdy człowiek upada pod niewielkim ciężarem, który tylko łut przewyższa to co on dźwignąć może i cóż winien ten co nadstawia swoje ramię pod walącą się opokę, która go zmiażdży i ściśnie jak robaka, cóż winien, że wszelkie podpory zdziałane ku podtrzymaniu katastrofy pękają pod tym ciężarem! a nowych silniejszych naród nie pozwoli postawić, paraliżując wszelkie królewskie zamiary. W takich warunkach objąłem tron. Radbym swoją piersią zasłonić tę burzę, jak żołnierz do ostatka stoję na posterunku. Wyczekuję śmierci... ale ta śmierć nie przybywa, za to hańba owija me skronie... Chciałem umrzeć, jak bohater. Wszechmocny i tego mi odmówił, wygnano mnie z kraju! Naród wyparł się—odepchnął... Ale Bóg wysłuchał prośbę, jedna z moich najpiękniejszych myśli zaczyna wzrastać. Ulżenie biednemu chłopu, co było mojem jedynem pragnieniem, znajduje w narodzie poparcie. Tyszowiecka konfederacya pierwsza wplata ten najpiękniejszy kwiat, osadza ten najdroższy brylant do mojej korony...

Nim skończył, łzy potoczyły się mu z oczu, aby je ukryć podniósł pergamin, zakrył nim twarz i czytał dalej;

„Tymczasowo pobytem króla Jana Kazimierza ma być Lwów".

— A zatem jedźmy do Lwowa—dodał król—nie chcę niczem łamać praw Wielkiej, niezatartej i niezapomnianej nigdy w dziejach naszych Tyszowieckiej konfederacyi, która będzie złotą chwilą w historyi narodów, a brylantem w historyi naszej.

— Niech żyje król Jan Kazimierz—odezwało się tysiące głosów.

VI.

Na ziemi od niedawna gościła wiosna, wspaniała, hojna, rozrucająca swoją drobną rączką rozmaite dary. Krzew bzu otrzymał od niej fioletowe barwne krzyżyki, zebrane w pukle, stokrotki bielutką, lub różową gwiazdkę. Dla ptasząt rzucała skrzydlaty żer, który, aby nie zawalał się w kurzu i piasku, zawieszony został w powietrzu na świecących barwnych skrzydełkach. Były to bączki, muszki i inne skrzydlate istoty, szemrzące tak pięknie.

Szelest i ruch w naturze nie zwykły. Jeszcze nigdy nasza wiosna tak wcześnie nie była tyle piękną. Wszak to dopiero pierwszy Kwiecień, a jednak, jak on wyróżnia się od całej zimy od innych miesięcy rozpoczynających rok 1657.

Lwów też uroczyście wyglądał, witając powracającego z wygnania Króla Jana Kazimierza. Tysiące delegacyi snuło się po ulicach, niosąc królowi coraz świetniejsze wieści z kraju. Na wzór Tyszowieckiej konfederacyi, zawiązała się na Litwie podobna

pod wodzą Pawła Sapiehy i Gosiewskiego, a nowe wieści niosły, że do podobnego kroku gotowa jest szlachta mało-polska w województwie Krakowskiem i Sandomierskiem.

Miesiąc zaledwie temu bo dnia 2-go marca skonfederowało się pod dowództwem Koniecpolskiego i Jana Sobieskiego wojsko kwarciane w Zambrowie i odstąpiło Szwedów.

Wszystko to dobrze uspasabiało króla, zwłaszcza, że codziennie liczne zastępy szlachty opuszczały szeregi króla Gustawa, znosząc na pośmiewisko do obozów skonfederowanych kiepską polszczyzną oddrukowane przeciwko „buntownikom" uniwersały, które tysiącami rozrucał król Szwedzki. A chociaż opiewały one straszne kary za te przestępstwo, wprowadzały jednakże za każdym razem w niezwykły humor zebraną we Lwowie szlachtę.

W winiarniach też nie brakło gości, boć przecież człowiek jeść i pić nawet na wiosnę potrzebuje. Przed jednym z takich zakładów stała garstka ludzi, a między nimi nie brakło Chociwskiego, który z całą powagą opowiadał o powitaniu króla w Łanencie i jego niezwykłej radości z ustawy konfederacyi uwalniającej chłopa od pańszczyzny.

— A pono dziś ma król wszystkich chłopów uwolnić i kraj oddać w opiekę Najświętszej Maryi, —odezwał się ktoś w tłumie.

— Zje dyabła—odparło znów tysiąc śmielszych.

— Ja tam królowi nie kontruję — odparł spokojnie sapiąc Chociwski—boć przecież chłop to wyraźnie stworzenie boskie.

— Waść, Mości Chociwski, gadasz za królem od czasu porwania młodochy parobkowi z Nawojowej. Chcesz pono się z nią żenić, a wstyd ci nie z szlachcianką, więc rad byłbyś, żeby wszyscy chłopi zostali szlachcicami—odrzekł mu na to sąsiad.

— Bodaj waści ozór skołowaciał, jak to prawda—odrzekł sapiąc Chociwski. — Obstaję za królem od czasu mowy Schlichtinga, którą nam powiedział w obozie na Podgórzu. Od tej pory jestem, jak nie swój, co spojrzę przed siebie to widzę te dziwne obrazy, widzę biednego chłopa dźwigającego opasa na ów wierzchołek. Sumienie gryzie mnie i dla tego pierwszy z moją kompaniją podpisałem akt Tyszowieckiej konfederacyi.

— I ja tož samo czuję, bo i nam o tem mówił Schlichting w Zambrowie!

— I nam na Litwie—odezwało się na raz kilkanaście głosów.—Prawda, prawa!

— Wreszcie i czegóż wy chcecie od chłopa — mówił dalej Chociwski. — Wiecie też, że bez chłopów nie podołamy szwedom.

— To pewno — dodał Sienieński, zbliżając się więcej do środka kółka.—Jeno widzę, że źle pojmujecie rzeczy, przypisując to Schlichtingowi. Umie on gadać pięknie, w to nie wątpię i dla tego was ocza-

rował swoją wymową, ale nie on pierwszy stanął po stronie króla Jana Kazimierza. Nie Schlichting, nie wy, nie Tyszowicka konfederacya kraj ocaliła, ale Najświętsza Marya, Matka Jezusa Chrystusa, dziedziczka klasztoru Jasnogórskiego. O cudach nie potrzebuję wam mówić, bo znacie je wszyscy, wiedzą już o nich inne katolickie narody, nawet Ojciec święty, nikt więc nie ocalił kraju, nikt, nawet Kordecki, boć przecież nie podobieństwem jest, aby mnich na słabej twierdzy mógł stawić opór 10,000-com szwedzkiego żołnierstwa, Wy pojmiecie to najlepiej. Cud, cud jeno tę ziemię ocalił!

— Toć Krysztów Żegocki, starosta babimostcki również się opierał Szwedom, choć nie przy klasztorze Jasnogórskim—odezwał się Chociwski.

— Ale z woli Maryi—wołał Sienieński -z woli Bożej, bo nic się bez woli Wszechmocnego nie stanie.

— Prawda—wołano w tłumie—nic.

Chociwski chciał coś mówić, chciał wytłumaczyć, że względna jest zasługa Kordeckiego, Żegockiego i względna zasługa Schlichtinga, ale w murach miasta dała się słyszeć pieśń święta. Śpiewało ją parę tysięcy głosów, więc zagłuszono nią mowę Chociwskiego. Wkrótce potem masa chłopstwa weszła na rynek lwowski. Wielu udało się w tę stronę na gapia.

Na czele wchodzących stał jak trzcina prosty, tęgi, o głowę od innych wyższy, z chorągwią świętą w ręku Stach Piotrkowszczyk.

Ksiądz, spotkawszy lud, żegnał go krzyżem metalowym, u różańca zawieszonym.

Nim się rozgościli przybysze, już dzwon katedralny rozsypał na wszystkie strony swój srebrnawy głos, wzywają zebranych na sumę.

Tłumy, jak fala posunęły się w tę stronę.

W kościele dygnitarzy i duchowieństwa pełno. Kościół dokoła oblężony. Wszędzie ludzie się cisną, szlachta, panowie, mieszczanie i chłopi zgromadzili się tu licznie. Organ huczy melodyjnie, księża śpiewają... na wałach działa ryczą. Król pięknie ubrany; okryty płaszczem z gronostai, w koronie na głowie, postępuje wolno po rozłożonych makatach. Za nim dygnitarze niosą berło i jabłko, oraz miecz nagi. Królowa również strojnie ubrana.

Rozpoczęto nabożeństwo. Król, dwór, dworżanie i cały naród modli się gorąco. Ksiądz Sienieński wygłosił z ambony piorunujące kazanie. Nastąpiło potem podniesienie, baranek boży i *Ita missae est.* Król podniósł się ze swego krzesła i szedł przed cudowny obraz Najświętszej Maryi, zawieszony w głównym ołtarzu katedry lwowskiej, położył rękę na ewangelii i wobec panów wygłosił taką przysięgę.

— Wielka Boga-człowieka Matko, a przeczysta Panno. Ja Jan Kazimierz z łaski Twego syna Króla królów; a Pana mojego i z Twojej łaski król, u stóp twoich najświętszych na kolana padając, obieram Cię dziś za Patronkę moją i moich państw kró-

łowę i polecam twojej szczególnej opiece, a obronie: siebie samego i moje królestwo z księztwami, jako też wojska obydwu narodów i wszystek lud mój. Ponieważ zaś z wielką boleścią mego serca widzę, że wszystkie klęski, jakie w ostatnich siedmiu latach na moje Królestwo spadły, jako to zaraza wojny i inne nieszczęścia zesłane zostały *przez Najwyższego sędziego jako chłosta, za jęki i uciśnienie chłopów;* przyrzekam więc i ślubuję użyć ze wszystkiemi stanami wszelkich sposobów, ażeby lud mego Królestwa od wszelkich niesprawiedliwych ciężarów i uciśnienia uwolnionym został.

Spraw to o najmiłosierniejsza Królowa, Pani, abym do wykonania moich przedsięwzięć, któremiś mnie sama natchnęła, łaskę twojego syna otrzymał."

Cicho było w kościele podczas gdy król te słowa wolno i dobitnie wygłaszał, tak cicho, że nawet brzęczenie muchy dałoby się słyszeć. Dopiero kiedy król skończył tę piękną przysięgę i arcybiskup złożył ewangelję, szmer powstał w kościele... Rozpłakał się lud z radości, panowie szeptali z zadowoleniem coś sobie do ucha, na wieżach w całym mieście odezwały się dzwony, a za nimi ryknęły działa wałowe. W kościele zabrzmiał organ; krótka ta chwila szczęścia zmieniła się w modlitwę. Wszyscy zebrani wtórowali śpiewając wraz z duchowieństwem hymn na cześć Stwórcy: „Ciebie Boga chwalemy." Pieśń ta prędko wydarła się za mury kościelne,

śpiewano ją na cmentarzu, na ulicach, wszędzie gdzie tylko byli ludzie... a nie brak ich było wtedy.

Był to dzień radosny, niezwykły, piękny i uroczysty. Dzień jakich mało w życiu narodów.

Lud został wolnym.

A jednak i ta chwila miała swoich przeciwników.

Oto garstka idzie i rozmawia o zaszłych zmianach.

— Hę, piękne rzeczy—mówi jeden —teraz chłopów niema już wcale. Szlachta szlachcie buty będzie czyścić i konia siodłać... Pogłupieli ludzie...

— Jeno do czasu—odpowiada drugi—opatrzą się że źle i wrócą do dawnego.

— A przysięga królewska?

— Wszakże to dzisiaj „*Prima Aprilis.*"

VII.

Wieść o uwolnieniu chłopów szybko rozbiegła się po kraju. Nic dziwnego, że oddział kmieci z Nawojowej zostający pod dowództwem Stacha Piotrkowczyka zwiększał się już nie z każdym dniem ale z każdą godziną i w krótkim czasie doszedł do 3,000 głów, a równocześnie tworzyły się i inne oddziały, spiesząc na Szweda.

Szybkiemi marszami wojska te postępowały naprzód chętnie i odważnie, a znużenie i droga nie odbijała się, ani na ich twarzach, ani na szatach. Kij duży dębowy, cepy, ostra łopata zastępowała wszelkiego gatunku zbroje. A jednak wojsko to było straszniejsze niż inne.

Straszne było najście Nowego Sącza, gdzie się się Szwed w murach zaparł. Była to pierwsza potyczka Stacha Piotrkowszczyka. Wdarli się chłopi na mury, opanowali ulice, okrążali domy, wywlekali z nich po jednemu chroniących się Szwedów i tłukli

pałkami, dopóki kości nie połamali i ciała na miazgi nie rozbili, wołając przytem: „A masz niedowiarku" „masz antychryście." W trzy godziny, ani jednego Szweda w mieście nie było, bo ci, których kije chłopskie ominęły, uszli spłoszeni do borów i pędzili naprzód opowiadając o strasznej trwodzę, o niezmiernej klęsce, która spotkała Szwedów.

Po tej operacyi chłopstwo, mszcząc się, podpaliło kwatery szwedzkie i opuściło palący się Sącz. Jeden Stach Piotrkowszczyk biegał po płonących komnatach, szukając pięknej dziewczyny, ale nadaremnie. Zrozpaczony szedł więc z bandą swoją szukać dziewczyny dalej. Jakaś zaduma padła mu na czoło, wtedy siadał i milcząc spoglądał w jedno miejsce, jakby się wpatrywał w lice ukochanej. Bywało, kładł się spać, a przedtem mówił pacierz do Matki Królowej, a zawsze jeden caluchny ofiarował na intencyę jego ukochanej Anki.

W nocy śni mu się ona. Widzi, że niedowiarki nawracają ją na inne wyznanie, to znowu śni mu się w trumience w sukni bieluchnej, mirtem przybranej, to skacze przed nim, niby aniołek, porywą go za szyję, przyciska do siebie, całuje i woła: Stachu, ty moje kochanie, ty moje złotko. Bywało nieraz mocuje się we śnie z innym niedowiarkiem, który mu chce ją wydrzeć, bije się aż do ostateczności, wreszcie tamten pokonywa go, obala i chwyta wpół Ankę, aby z nią ujść gdzieś za morze. Wtedy Stach z krzykiem budzi się. Sen znika, a na jawie jesz-

cze smutniej. Gdzie ona jest? gdzie moja złota, jedyna Anka—wołał, rwąc sobie włosy.—Biada mi biada. — Wtedy i sąsiadom żal biednego Stacha, przychodzą i pocieszają go:

— Ksiądz dał ci obrazek Chrystusa Pana i kazał ci się modlić; módl się więc i idź bić wrogów. Jezus Chrystus powiedział przecie: szukajcie a znajdziecie! — Wtedy Stach zrywał się biegł ze swoją gromadą i pytał ludzi po drodze, czy nie widzieli dziewki, a oni mówili mu, jak to ludzie: Tu lub tam widzieli rycerzy, kryjących się po wsiach aryańskich z piękną dziewoją. Ale gdzie się wówczas nie kryli rycerze, a tem więcej czy to jedna Anka przepadła? Każda co piękniejsza ulegała jednemu losowi. O tem jednak nie myślał Stach, bo i czyż zostawał mu czas na kalkulacye, skoro wojować i tęsknić musiał. Szedł więc drogą i niszczył wsie aryańskie, bo za herezye Bóg pomstę na kraj zsyłał. Tak przynajmniej powiedział mu z ambony we Lwowie ksiądz Sienieński.

VIII.

Zwycięztwo przyszło łatwo. Nie tylko strwożony Szwed pierzchał na północ, ale i wyznawcy arjańskiej nauki musieli opuszczać co rychlej Małopolską. Sam Wiszowaty, który cieszył się w tej stronie mirem i przybył tu w celu ratowania zborów aryańskich i fortun ledwie uszedł z życiem, bo chłopstwo nic nie uwzględniało i nie szukało odcieniów winy i stosunku politycznego. Kto nie był z nim jednej wiary, ten był wrogiem Królowej Matki Boskiej Najświętszej Maryi Panny, a zatem wrogiem kraju. Bito i rozbijano, a patent na to postępowanie dało społeczeństwu ówczesne religijno-bezwzględne wychowanie.

Kiedy tłum tak rozszalały zbliżał się do wsi katolickiej, uderzano w dzwony, które łamały na wstępie roznamiętnione umysły. Chłopi składali pałki i padali na kolana. Z piersi ich płynęła smętna, łagodna, święta pieśń, której się nauczyli jeszcze przy piersi matek. Podczas tej modlitwy ani byś

poznał po ich upokorzonych minach, że są to ciż sami butni rozszalali wojacy. którzy przed chwilą z dzikością rzucali się na sąsiednią wieś aryańską.

Mogli przewidzieć aryanie następstwa tych nieprzyjaznych kroków, i przewidzieli je niezawodnie. Właśnie był to czas w którym Rzeczpospolita wracała do normalnego stanu, a po przerwanych podczas wojny sejmach pierwszy został zwołany, w Warszawie gdyż wiele było spraw do załatwienia. Więc też nagromadziły się tłumy do miasta, aby na tych naradach być obecnemi. Między nimi byli zarówno aryanie, a choć ich do sejmu nie wpuszczono, prosili posłów, aby poparli ich sprawę i uregulowali ją należycie. Wszakże, jako dzieci tej ziemi, mieli prawo upominać się o to, aby im dał sejm pewne prawa, aby nie traktował ich po macoszemu, jak się zanosiło... Sejm jednak zapowiedział się bardzo burzliwie...

Podczas tych obrad w dużej aryańskiej szynkowni zebrała się garstka ciekawych, czekająca na rozstrzygnięcie o jej losie przez tak wysoką i bezstronną instytucyę, jaką był sejm. Byli oni pewni, że przecież wśród tylu posłów wśród tylu senatorów, znajdzie się garść ludzi trzeźwo na rzeczy patrzących.

Od paru dni jednakże coraz to smutniejsze dochodziły wieści. Król postawił wniosek, ażeby kmiotkom sejm zatwierdził ulgi, które były przed obrazem Najświętszej Maryi Panny przez niego zaprzy-

siężone. Szlachta i możni, a właściwie reprezentanci klas tych na sejmie nie chcieli się na to zgodzić. Bo i pocóż mieli pozbywać się kmiotka, kiedy szwed już wygnany, a Rzeczpospolita w dąwnych pozostawała warunkach.

Nie było więc punktu wyjścia. Król przyrzekł Najświętszej Pannie, że uwolni chłopów, sejm ani chciał o tem słyszeć... Duchowieństwo w widokach własnych interesów przechylało się na stronę szlachty, ale z drugiej strony dbając o swój moralny wpływ nie mogło zwolnić tak łatwo króla z przysięgi.

Powstały więc gwałtowne spory, aż ktoś podsunął myśl, aby chłopów zostawić, jak byli, a dla przebłagania Maryi Panny i Pana Jezusa wygonić aryan z Polski, bo na nich więcej jest zagniewana Królowa Polska, aniżeli na szlachtę, ciemiężącą chłopów, bo ta nie nazywa Chrystusa Pana człowiekiem ubóstwionym.

Myśl ta trafiła do przekonania całemu senatowi, jeden król oponował, ale z obawy aby sejmu nie zerwano, w końcu słabnąć począł. Podczas obrad sejmowych całą winę złego obrotu spraw swoich arjanie przypisywali Schlichtingowi. Teraz stał się on za wszystko moralnie odpowiedzialnym, bo i po cóż namawiał szlachtę, aby na tron powołała powtórnie Jana Kazimierza. Co by mogło stać się za rządów Karola Gustawa—nie wiadomo, domyślali się jednakże, że król protestant względniej obszedłby się z ni-

mi, aniżeli Jan Kazimierz, który niezawodnie ulegnie naleganiom i znowu wyznanie to ograniczy. Słuchał tych wyrzutów Schlichting z pochyloną głową, a gdy się skończyły rzekł:

— Pomyliłem się, przyjaciele moi, licząc na wzniosłe, szlachetne uczucia naszych braci, różniących się z nami poglądem na sprawy wiary. Ale to nie stracone. Karol Gustaw jest jeszcze w kraju, tuła się gdzieś po ziemiach pruskich i spiskuje z elektorem, chcąc uknuć podział Polski. Każda kropełka na te koła obracające jego maszynę jest pożądaną. Pójdę więc do niego, a wy pójdziecie ze mną, będzie to garść poważna. Wreszcie dla większych wpływów, osiągnę urząd znamienity. Dawał on sufraganowi płockiemu, księdzu Tolibowskiemu arcybiskupstwo gnieźnieńskie, byleby ukoronował go tylko. Tolibowski nie przyjął tej propozycyi, a czy wy wiecie co to być arcybiskupem gnieźnieńskim? na arcybiskupstwie tem zasiadał kwiat rodzin najznakomitszych.

Jak mało żąda król Karol Gustaw za takie dostojeństwo, za taki urząd, za taką pozycyę. Nie rozsądny Talibowski nie przyjął jej, ale ja przyjmę, przyjmę za jakąbądź cenę. Ukoronuję Karola Gustawa bodaj w Psiej-wólce, a gdy się jego kandydatura utrzyma będę zagarniał kolejno coraz większą władzę, aż wreszcie stanę się potentatem, możniejszym i silniejszym od Radziejowskiego i mścić się będę na wszystkich.

Umilkł. Cisza zaległa izbę. Dopiero po pewnym przeciągu czasu, widząc że Schlichting skończył, Wiszowaty przerwał milczenie i rzekł:

— Ty tego nie zrobisz.

— Dla czego?—odezwał się spokojnie Schlichting.

— Tobie, kolumnie naszego kościoła, nie wypada zdradzać wiary aryańskiej. Wreszcie znam ciebie lepiej niż ty sam siebie, i jestem przekonany moralnie, że prędzej...

— Zdradzę kraj dla wiary!

— Schlichting! ja tego nie mówię—odparł gwałtownie Wiszowaty.

— A więc cóż chcesz, żeby garść nasza oponowała woli całego narodu? Źle czynią nasi bracia, ale kiedy większość chce tego, czyśmy im dla dobra kraju, nie powinni ustąpić? I tak wygramy wiele, będziemy wygnańcami odrodzonej korony.

— Daj to Boże—rzekł Wiszowaty.

W czasie tej rozmowy do izby wszedł niespostrzeżenie Chociwski czerwony, spocony, drżący. Trząsł się jak liść podczas wiatru i sapał przeraźliwie.

— Osły, gałgany... Jeszcze takiego sejmu nie widziałem i daj Boże, żebym nie oglądał więcej. Czy wiecie jaki wyrok zapadł?

— Widzimy tylko, żeś waść zły — odparł Wiszowaty.

— Bo jak się tu nie złościć. Chcieli chłopa zostawić chłopem, to jeszcze mniejsza. Na świecie tak jest niech i u nas tak będzie, aleć żeby wypędzać

was wszystkich Aryan i tem się okupić Bogu za przyobiecane, a niedotrzymane ulgi chłopom, to gorzej jak po szatańsku, jak po heretycku. Sensu i rozumu ani za grosz. Wołano do pomocy turków niechrzczonych, aby króla i wiarę katolicką ratowali, mamy też dosyć żydów niechrzczonych w kraju, wszyscy panu Bogu nie zawadzają, na nikogo się Najświętsza Panna Marya nie gniewa, jeno na was—Arjanie, na was braci naszych z krwi i kości. A osły, a hultaje... — klął sapiąc Chociwski i obcierał pot czerwoną chustką.—A wszakże pamiętam te chwilę, na Podgórzu. Kiedy Schlichting mówił, ja kruszałem pod temi słowami, jakiś dziwny niepokój; jakaś gorączka opanowywała mnie. Chciałem pierwszy z swoją kompanią odstąpić Szweda i iść Kordeckiemu na pomoc. Wam król Jan Kazimierz tron zawdzięcza, bo za waszym jeno wpływem powstała Tyszowiecka konfederacya, a jam pierwszy ją podpisywał nie wiedząc, że działam na zgubę waszą.

— Powinieneś był tak uczynić — odezwał się Schlichting, wtedy chodziło o ocalenie kraju. Dla takiej idei depczą się prawa jednostek. Źle postąpili wydalając nas, bo skrzywdzili nas bardzo. Od tej chwili serca nasze odziały się wieczną żałobą, żal owładnął niemi, ale, jeżeli naszym braciom jestto niezbędne do jednolitości narodu, do wzmocnienia kraju, my opuszczamy go i wyginiemy jak ziarno wypleniające się na obcych ziemiach. Jednego od was za to żądamy: Wielkości i całości naszej ukochanej ziemi!

— Niech się stanie—dodali cichym głosem zgromadzeni towarzysze Schlichtinga.

Dziwnie urocza i dziwnie smętna i dziwnie niezwykła to była chwila, wywierała ona to wrażenie, jakie na nas wywiera całkowite zaćmienie słońca. Jest ono imponujące na chwilę—niepożądane na dłużej. Garstka aryan stała zebrana w jednej grupie, smutek niezwykły malował się na ich twarzach, dłonie ich splotły się razem i ściskały się wzajemnie tak szczerze, serdecznie bez obłudy, bo ściskały się w nieszczęściu i troskach.

Ostatnie dni ich życia, ostatnie chwile pobytu na ziemi ojczystej były policzone, za lat dwa każdy aryanin miał opuścić kraj, albo przyjąć religję panującą katolicką.

Gdyby aryanie nie byli wydaleni, gdyby byli potężnymi, może zdecydowaliby się na odstąpienie od swojej wiary. Dziś poniżyłoby to ich bardzo, gdyż powiedzianoby, że uczynili to pod naciskiem, lub dla jakichkolwiek widoków majątkowych. Pozostawał im jeden środek, pozornie zostać katolikami. Uczciwy jednakże człowiek oszustwa się nie dopuszcza. Walczy on do ostatniego, ale otwarcie. A zatem wygnanie otworzyło im wszystkie swoje drogi... Tułactwo postępowało. Smutku takiego nie można ukryć. Milczenie i łzy tem więcej żal ten napiętnowały. Na obraz ten spoglądał szlachcic upokorzony, rozżalony tym spokojem, tą krzywdą wyrządzoną bliźniemu. Wstydził się on, że sejm, jego bracia i władcy usta-

nowili wyrok, który napiętnował całe społeczeństwo.

— Milczycie—mówił on—milczycie, ale ten wasz spokój, ten wasz żal wdziera się tu do głębi piersi moich. Nie wiem czemu, ale czuję, że postąpiliśmy źle, że sejm nieuczciwie głosował, a niesprawiedliwość wyrządzona wam jest tem boleśniejszą, że tenże sejm potępiając was przywrócił część zdrajcy Radziejowskiemu. A czy wy znacie dzieje tego człowieka? Ojca jego wyniósł dopiero Zygmunt III.

Ten Radziejowski, urodzony z Katarzyny Sobieskiej, będąc jeszcze podrostkiem, dostał się na dwór Władysława IV, gdzie już zakażona krew niecne w nim obudzała czucie. Znam tę sprawę wyśmienicie, a mój ojciec znał ją jeszcze lepiej. Chytry gmatwacz wtedy już pono zabrał się do intryg i, jako krajczy królowej, różnemi sprężynami dostał się na marszałka sejmu. Rósł więc w dumę, a nauki, a serca tam nie było. To też w krótkim czasie swemi spekulacyami i podstępną gmatwaniną poważnił króla z królową, za co go Jan Kazimierz znienawidził. Mszcząc się, wywołał temu lat z dziesięć rokosz pospolitego ruszenia w wyprawie beresteckiej. Szczęściem nie wiele na tem kraj ucierpiał. Niezadowolony z takiej zemsty, ożeniwszy się z Elżbietą Słóżkówną, wdową po Adamie Kazanowskim, panią ogromnego majątku i niepospolitych obyczajów, oczerniał ją przed królową, że romansuje z królem. Taki, mości panowie nikczemnik, taki niegodziwiec, własną swoją żonę na sztych wystawiał. Ujęli się też za

nią bracia, najechali pałac Radziejowskiego i zajęli go. On, mszcząc się za to, naszedł ich nocą, dobył zamku, ale to była jeno na niego łapka. Dostał się w ręce Służków. Ztąd też urosła owa głośna sprawa, o której słyszeliście zapewne wszyscy. Wyrokiem sądowym Służkowie zostali skazani na rok i sześć niedziel ciężkiego więzienia. a Radziejowski na banicyę. Ale kpił on sobie ze sprawy sądowej. A nawet na trybunale piotrkowskim wyjednał swemi wpływami tyle, że wyrok ten skasowano. Oburzyło to jednakże szlachtę tak dalece, że Radziejowski odtąd nie czuł się dość bezpiecznym w kraju i wyjechał do Wiednia, a potem do Sztokholmu. Odtąd datują się jego najstraszniejsze zdrady, boć złe, spadłe w ostatnich czasach na kraj nasz, z jego pochodzi intencyi. Zdrajca ten i niegodziwiec namawiał Karola Gustawa, intrygował, rozpisywał do panów polskich listy, słowem zasłużył na szubienicę, na karę gardła. Nasz naród gorszego nie posiadał nikczemnika, a przecież na sejmie uniewinnili go, przebaczyli mu i przywrócili do czci. Powiedziałem im prawdę w oczy... zakrzyczeli mnie, zakrzyczeli... a osły, a osły... Teraz coraz więcej czuje doniosłość słów twoich bracie Schlichtingu! Nikczemniejemy. Prawdziwego dobra kraju nie mamy na widoku — prywata, jeno prywata, nieubłagana napełnia nasze serca nasze dusze, nasze rozumy. Dla niej tylko żyjemy, cnót dawnych nie zachowujemy, o dobro kraju się nie troszczymy, na moralne strony ludzkie nie patrzymy...

jeno pieniądz, raz jeszcze prywata, pochlebstwo i koligacya, niby owa zbrukana piana, spływa na fali naszych pragnień.

Przepaść przed nami.

Nim skończył, nim obtarł swoim zwyczajem pot czerwoną chustką i wysapał się Chociwski, już trąby i bębny radośnie odezwały się na ulicach, a wśród wesołych okrzyków gawiedzi dały się słyszeć wołania: „Aryanie za lat dwa kraj nasz opuszczą; Aryanie wygnani!”

IX.

Podczas obrad sejmowych Stach Piotrkowczyk uganiał się ze swoim oddziałem i podciągnął z nim aż pod Częstochowę, szukając po drodze pięknej swojej młodochy, Anki Wiesiołkównej. Wszystkie jednakże poszukiwania nie odniosły pożądanego skutku. Pomimo, że ze trzydzieści wsi aryańskich zniszczył, pomimo, że tyleż miast splądrował, wszystko go zawiodło. Ofiarował się do Częstochowy i w Matce Najświętszej, w cudownym obrazie ostatniej szukał nadziei, ostatniego ratunku i ostatniej wyczekiwał pomocy.

Szedł więc tam, spieszył się wraz z całą kompanią, a dziwna gorączka popędzała go coraz więcej.

Nikt jednakże teraz nie poznałby Stacha Piotrkowszczyka. Z tęgiego, przystojnego mężczyzny pozostały jeno kości, na których stara, pokrwawiona, podarta sukmana niby na kołku wisiała. Duże szafirowe oczy zapadły się het gdzieś, jakby w grób głę-

boko, a na rumianem kiedyś licu rozgościła się w żółty kolor wpadająca bladość.

Wszyscy się dziwowali bardzo, ale jakże miało być inaczej, zabrano mu piękną Ankę i już ze trzy lata blizko nie widział jej wcale. Dumał więc o niej i rozpaczał... a ta rozpacz pożerała go... Wchodząc na Jasną Górę, chłopi na wstępie spotkali się z księdzem Kazimierzem. Przywitał ich uprzejmie, ale Stacha nie poznał.

— A wy kto tacy—pytał się go.

— Piotrkowszczyk—odparł całując kolana—ten sam coście mu dali obrazek.

— A... —rzekł ksiądz, przypominając go sobie. —Dobrześ się spisywał, dobrze, chłopcze, pamiętałem o tobie i sejm też pamiętał, ocenił twoje zasługi i ofiarował ci zato szlachectwo, chodź jeno ze mną.— Szedł z nim do celi i dał mu dokument, ale Piotrkowszczyka pargamin ten nie pocieszył wiele, on gdzieindziej swą myślą dążył i dlatego chciał się pytać księdza o dziewkę, ale wszedł jakiś gruby sapiący pan. Ksiądz Kazimierz, ujrzawszy go pożegnał się z parobkiem, a raczej z nowokreowanym szlachcicem.

— Idź, idź—mówił on—na wotywę dzwonią.

Szedł więc Stach i z całą gromadą znaleźli się w kościele. Księża powitali chłopów-zwycięzców mową gorącą, opowiadając o cudownem ocaleniu Jasnej Góry, której gwałtownymi przeciwnikami byli: Jan Wejchard, hrabia Wreszczewicz pan Katolicki i Müler, najzjadliwszy jenerał Szwedzki. Opowiadanie

zwycięztwa Jasnogórskiego wywarło niezmierne wrażenie na zgromadzonych kmiotkach, a szczególniej niepodobał się im pan, polak, a niedowiarek boży, który targnął się pierwszy na cudowny klasztor Częstochowski.

Po kazaniu skończono wotywę, a ludek począł się wolno rozchodzić, aby wypocząć nieco dłużej po tych nieustannych marszach. Nie wielu pozostało w kościele, między nimi Stach klęczy i modli się do Najświętszej Panienki na intencyę, aby ta pozwoliła mu odzyskać jego Ankę. Modli się gorąco, oczy opuścił na dół, pot wystąpił mu na czoło. On ją widzi. Jak widmo przesuwa się przed oczyma. Wytrzeszcza je, ogląda się, dokoła pusto; gdzieniegdzie klęczy jakiś grzesznik wzdychając, ale Anki ani śladu. Zasmucony zwraca się znowu do Najświętszej Maryi Panny, patrzy w przecudowny obraz, nasłuchuje, czy ta opiekunka święta nie zlituje się nad nim i nie powie mu, gdzieby mógł odnaleźć swoją ukochaną dziewicę. Ale nic nie widać. Jednakże dziwny niepokój go ogarnia, zdaje mu się, że słyszy jej głos, że widzi ją ubraną świeżutko, tak, jak ją ostatni raz widział podczas zarękowin. Ogląda się znów za siebie. To ostatni grzesznik wstał już i wyszedł, on jeden został w kaplicy. Aż tu z głębi dają się słyszeć kroki. To ona, myśli sobie. Nie, nie, nie ona. jeno stary dziadek wlecze się z zakrystyi, przykląkł przed Ukrzyżowanym i idzie dalej. Zapala przed ołtarzem świece.

— Druga wotywa pewnie—myśli Stach, dobrze że będzie wotywa, bo mu tak nie sporo kościół opuszczać. Organ jakoś tak błogo gra, tak dziwnie ckliwie, tak smętnie. Z tym smutkiem zleje się jego smutek, jego żal, jego cierpienie.

Już huczy organ, jeno nie tak smutnie, nie ckliwie. Z kościoła walą się ludzie, a za nimi bogato ubrani panowie. Lud ustępuje im z drogi, ksiądz w kapie postępuje naprzód; poznaje go Stach, to ksiądz Kazimierz Sienieński, za nim suto przybrany orszak weselny z tym grubym panem, co go dziś rano spotkał w celi u swego dobrodzieja, odbierając dokument szlachecki.

— Mój Boże, jakby się też ucieszyła Anka — duma sobie Stach — gdyby wiedziała, że pójdzie za szachcica.—Mógłby co prawda rzucić ją teraz, ale on prędzej pozbyłby się życia, aniżeliby miał sprzeniewierzyć się swojej ukochanej. — Mój Boże szedłbym i ja tak do ołtarza i ze mną młodocha, a teraz zamiast wesela, jeno zgryzota w sercu, jeno ból straszny.—Idzie, idzie orszak weselny i dróchny i drużbowie, a i panna młoda w bieli, jeno pana młodego nie widać. Ten tłusty to widać ojciec panny, albo stryj.

Orszak zbliża się tuż koło kraty; zdjęła go ochota popatrzyć, czy ładna też panna młoda? czy piękniejsza od Anki? Rzuca więc ukradkiem spojrzenie. Ochapia mu się coś... dziwna twarz, ale tak z boku przypomina Anusię. Przecież ta pani to nie

Anusia. Takie szaty bogate na niej. Jednak w sercu coś ciśnie, nogi coś popędza... pragnie przyjrzeć się bliżej. Spieszy za orszakiem, ale do ołtarza dotłoczyć się nie może.

Nasłuchuje jeno z dala jakie ksiądz wymówi imię. Dosłyszał je: „Anka“, a więc przedziera się bliżej, przypatruje się: to Anka, jego droga ukochana Anka.

Więc woła:

— Anusiu moja, Anusiu. — Ale organ zagrał i nikt nie zwrócił na to uwagi. Ona podniosła oczy spojrzała w tę stronę obojętnie, i znowu słuchała księdza.

— Nie poznajesz mnie Anusiu moja—wołał Stach —nie poznajesz.

— Nie ślubowałaś nikomu—pyta ksiądz.

— Nie...

Jakaś dystyngowana pani podała obrączki i zasłoniła na chwilę klęczących.

— Jestem Stach Piotrkowszczyk -- półszeptem wybąknął chłopek—nie poznajesz mnie?

— Przysięgam.

— O rety—krzyknął chłopiec — Aneczko moja.

Ale ta nie spojrzała się więcej na niego. Organ zahuczał i wszyscy zaczęli wychodzić. Wtedy Stach chwycił pałkę i biegł naprzód wołając: niewierna, niewierna.

Krew uderzyła mu do głowy, oczy paliły go bardzo, trząsł się cały, jak w febrze, powtarzając:—

niewierna.—Zatrzymał się przed ołtarzem Pana Jezusa. Tu najciemniejsze przejście do kaplicy. Dziwna gorączka go opanowała, a złe dorzucało mu straszne słówka do ucha: zdradziła ciebie, zdradziła, zabij ją. Zabiłeś już tylu ludzi, zabiłeś ich tylu dla niej jedynie... winnych, czy nie winnych, a jednak zabiłeś, a ona porzuciła ciebie dla pana i znów półszeptem cość dodawało: zabij ją, zabij!—Drgnął na tę myśl, ale żal był straszny, a złe do ucha szeptało ciągle: „zabij ją, ukarz za nieuczciwość, za niewiarę, za zdradę.“—Organ huczy... orszak wolno wlecze się z kościoła, ona idzie blada, bledziutka. Podniósł pałkę, ale opuścił ją i jęknął. Ale gdy przeszła, znów go coś opanowało, znowu złe szeptało do ucha: „Zabij ją.“—Podniósł więc pałkę do góry, gdy w tem ksiądz Sienieński pochwycił go silnie za rękę i zawołał głośno:

— Co chcesz czynić?

Chłopak spojrzał na niego, pobladł, opuścił pałkę i dodał:

— To ona, księże, to Anka. Ja ją tak kochałem, tak szczerze, tak dziwnie, a ona wyszła za innego, zdradziła mnie.

— Nie zdradziła, bo i nigdy nie kochała ciebie —odrzekł spokojnie ksiądz.

— Nie kochała? A zkąd to jejmość wie?

— Spowiadali się dziś rano, więc wiem wszystko.

— A żmija—wrzasnął Stach—wszakże były jej zarękowiny ze mną.

— Tak, chciała wyjść za ciebie, jeno dla tego, że wszystkie dziewuchy tak czynią.

— A ja ją tak kochałem. Znikąd zlitowania, znikąd... bieda nas gniecie, a przecież, mogliby nam panowie choć młodoch nie zabierać... Sprawiedliwości znikąd.

— Znikąd? — odezwał się ksiądz — alboż wam król nie dał najlepszej patronki? alboż wam nie obrał najsprawiedliwszej Królowej? Macie ją i mieć będziecie na zawsze.—To mówiąc prowadził go, jak baranka do kaplicy i wskazał mu obraz przed którym jeszcze gorzały świece.

Stach Piotrkowszczyk spojrzał na Najświętszą Maryę. Wydała mu się tak cudowną, tak miłą, tak łagodną. Lice jej lśniało spokojem i dobrocią. Zdawała się poruszać na ołtarzu i wyciągając ręce przemawiać doń: „Chodźcie tu moje dziatki, ja was nie opuszczę" Dziwnie się więc zrobiło na sercu Stachowi, podniósł w górę ręce, wyciągnął je do Królowej Nieba, do Matki swojej, i padając na kolana, rozdzierającym głosem zawołał:

— Maryo, Królowo nasza!

— Niech się modli — bąknął ksiądz i wymknął się z kaplicy.—Dobrze, żem go śledził—mówił do siebie— widziałem, że wzburzony; mógłby znieważyć święte miejsce, a to zły przykład dla ludzi...

W parę minut dziadek szedł gasić świece. Czas zamykać kościół, na środku ktoś schylony klęczy. Podszedł więc do niego i woła: „Wstawajcie.” Ale się ten nie porusza. Schyla się więc i dotyka go ręką.—Wstawajcie człeku.—On sztywny.—Co to jest? Umarł nieborak.—Krzyczy.—Zbiegają się bracia i zakonnicy, patrzą, opukują, cucą. Nieżywy.

Kto to taki?

W siermiędze biednej, obdartej, krwią pobryzganej... Czy zbrodniarz? Nie, bo przy nim obrazek od księdza Sienieńskiego i przywilej nadający szlachectwo Stanisławowi Piotrkowszczykowi.

X.

Ostatni termin wygnanym aryanom upływał. Który z nich do jutra nie opuści granic Rzeczypospolitej, będzie uważany jako łamiący jej prawa i karany na gardle. To też nie wszyscy wyczekiwali tego terminu i wielu z nich opuściło Królestwo; dziś resztki zmuszone były toż samo uczynić. Zebrała się więc nie wielka garstka Aryan smutnych, zbolałych, wyczekujących tego strasznego dnia niespokojniej i z większą boleścią, niż suchotnik wyczekuje śmierci. Jak wszystko, tak i ten dzień nadszedł szybko. Zebrała się garść ostatnia i ruszyła w drogę. Na czele tego pochodu postępował wolnym krokiem, ze zwieszoną na piersiach głową, starzec z długą si-

wą brodą, Jonasz Schlichting, obok niego szedł smutny Wiszowaty i kilku innych z rodzinami.

— Przenocujemy na granicy—mówił starzec do towarzyszy.—Jutro rano będziemy na Szlązku. Byli więc mu posłuszni. Noc spędzona w biednej austeryi zeszła dosyć smutnie w zadumie i milczeniu. Rano witali słońce, stróża ziemi. Podniosło się ono wolno i ozłacało jakimś uroczym blaskiem ten kraj ukochany.

— Chodźmy—mówił Wiszowaty!

— Czekaj, przyjacielu—odpowiadał Schlichting.

— Pójdźmy już—mówił potem Schlichting.

— Jeszcze chwilkę—przerwał Wiszowaty.

Potem znów odzywał się Wiszowaty, a zatrzymywał go Schlichting, tak niesporo im było opuszczać tę ukochaną ziemię na wieki. Staję drogi byli od granicy, kiedy słońce od niej było daleko, daleko. Teraz oni mają jeszcze przed sobą ową staję drogi, a słońce już minęło granice i tonęło gdzieś we mgle głębokiej. I tem się różni wschód od zachodu, że na wschodzie wita się słońce, bo ono tu przychodzi ogrzewać człowieka i odżywiać go swemi promieniami, kiedy na zachodzie żegna go i ginie mu z przed oczu, aby pozostawić po sobie noc, którą na wschodzie rozprasza! Wschód więc daje życie, zachód spoczynek!

Otóż i słońce utonęło gdzieś dawno. Niebo zasłało się złocistemi gwiazdami, które, niby własne owieczki, pasł miesiąc. Wszystko się zmieniło, a je-

szcze nasi podróżnicy nie ruszyli się z miejsca, ale nieubłagany obowiązek i nieubłagana konieczność naglila. Wśród mar fantastyczuych, wśród fantastycznych cieni, które niby duchy rozsypał księżyc rogaty po ziemi, posuwali się biedni wygnańcy leniwie. Wychodząc z kraju zmuszali się siłą woli... duch ich ulatał, wracał się do kraju. Otóż granica. Rozstanie było smutne i bolesne. Jeden jeszcze krok, a na obcej staną ziemi. Już ciało przekroczyło ten pas, a jeszcze długie cienie, chcąc choć chwilkę poigrać po własnej glebie, wloką się za niem. We wsi Zelichau na pograniczu Szląska zatrzymali się wygnańcy, bo było już późno iść dalej.

Wiszowaty zsadził z bryki żonę i dzieci i ulokował ją w jednej ubogiej chatce. Schlichting zajął alkierz, zkąd niewielkie okienko zwrócone było ku wschodowi. Starzec spojrzał w nie. Blady księżyc oświetlał całą ziemię, a przy jego świetle można było widzieć lasy rozłożone na ziemiach kraju. Wyciągnął więc ręce w tę stronę i półgłosem wołał:

— Ziemio, moja ziemio! a więc dla mnie, dla starca nie masz kawałka miejsca na mogiłę? i dla tego wypędzasz go, aby swe kości po za twoje wyniósł granice. O moja ty ziemio wypędzasz mnie ty, wypędzasz, jako zbrodniarza, jako wyrodka, a ja cię tak szczerze kochałem.

Urwał nagle, w oczach zaćmiło mu się, do głowy uderzyła krew, omdlał, padając z łoskotem na ławę. Zaniepokoiło to siedzącą w sąsiedniej izbie Wi-

szowatą. Weszła więc do alkierza i spostrzegła zwieszoną na oknie głowę Schlichtinga. Ztrwożona podbiegła ku niemu wołając:

— Co wam jest... Boże, mój, Boże—i poczęła go cucić. Schlichting przyszedł do siebie.

— Żal wam ziemi—mówiła dalej?

— Tak, bo radbym przynajmniej kości me tam złożyć. Czuję, że jestem blizkim śmierci.

— Ja bym na waszem miejscu przyjęła pozornie wiarę mi narzuconą.

— Nie—odparł stanowczo Schlichting.—Wolno wierzyć, jak komu się podoba, ale z Boga żartować nie wolno, bo to nam ubliża i poniża nas bardzo. Chcąc być dobrym, prawym synem ojczyzny, wypada być czystym, jak łza. Dzieci złego prowadzenia, złego charakteru, złych narowów przynoszą hańbę matce, a tacyż obywatele kompromitują kraj i podkopują jego najtrwalszą egzystencyę. Schlichting do tych ostatnich nie chce się zaliczać Chce on być dobrym synem, a nie złym, lub choćby znośnym pasierbem. Podczas tych słów głos mu słabnął, tchu brakło. Rozwiązał przeto szaty u szyi, otworzył okienko i chwytał dmący wiatr wschodni, jakby się chciał nim otrzeźwić lub nasycić. I znowu powtórzył się atak, starzec zsunął się i padł na ławę.

Gdy Wiszowaty powrócił do izby, Schlichting nieprzytomny leżał już w rogu izby na rozłożonym sianie, nic nie mówiąc. Puls słabnął bardzo. Starzec konał. Wiszowata klęknęła przy nim i modliła

się. Do izby weszli i inni aryanie, towarzysze wygnańcy. Nachylony Wiszowaty odświeżał wodą starcowi usta spieczone.

O północy Schlichting oprzytomniał trochę, wsparł się na ręku, ale nic nie mógł mówić, tylko ujął za szyję Wiszowatego. Ruchy zdradzały, że się chce dźwignąć, więc pomógł mu Wiszowaty. Starzec bezprzytomny prawie gwałtem ciągnął się do okna, co mu też ułatwili koledzy. Jednem gorączkowem pchnięciem otworzył okno, aż trzasło o ściany. Ten sam wiatr chłodny owiał mu i teraz twarz zgorączkowaną. Blady księżyc wyjrzał z poza strzechy i oblał lice swojem martwem, bladem światłem. Schlichting milcząc wyciągnął dłoń ku wschodowi i nachylił głowę, a po twarzy zmarszczonej potoczyły się łzy kropliste. Usta konwulsyjnie drgając powtarzały jakieś dziwne zaklęcia, z których jedno dosłyszeli blizcy: „Bądź zdrowa i wielka." Potem osunął się starzec na ręce przyjaciół, zwiesił głowę na oknie i zasnął na wieki.

W godzinę potem gromadka ludzi szła ku północnemu wschodowi niosąc w improwizowanej wylanej żywicą trumnie ciało. Jedni z nich przekroczywszy granicę tuż pod brzózką płaczącą wykopali mogiłę.

Opuszczając w nią trumnę, Wiszowaty dołączył butelkę w której ukryty był spisany naprędce życiorys tego człowieka i w ręce wsunął mu, zamiast obrazka, nie wielką metalową blaszkę z napisem:

„Wiem, w com wierzył."

KONIEC.